



Jarosław  
Wojciechowski

PRZEBUDZENIE



Jarosław Wojciechowski

# Przebudzenie

Włocławek 2017

Redakcja i adiustacja:  
*dr Tomasz Dziki*

Konsultacja:  
*Henryk Rumiński*

Projekt okładki:  
*Artysta plastik – Roman Galiński*

Słowo wstępne:  
*Bożena Laskowska*

Copyright by:  
*Jarosław Wojciechowski*

Wydanie II rozszerzone

Wydawca  
EXPOL, P. Rybiński, J. Dąbek, sp.j.  
87-800 Włocławek, ul. Brzeska 4

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej książki nie może być zapisana czy przekazywana w sposób mechaniczny, elektroniczny lub foniczny i w jakiegokolwiek innej formie bez uprzedniej zgody autora.

Donatorzy:  
Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Spółka z o.o.  
ul. Płocka 30/32, 87-800 Włocławek  
Restauracja „Impresja”, Włocławek, ul. Bojańczyka 21

Skład, druk i oprawa:  
EXPOL, P. Rybiński, J. Dąbek, sp.j.  
ul. Brzeska 4, 87-800 Włocławek  
tel. 54 232-37-23, e-mail: sekretariat@expol.home.pl

ISBN 978-83-63080-08-2

Dedykuję:

*Mojemu Kochanemu wnuczкови  
Aleksandrowi Kamińskiemu*

**Serdeczne podziękowania za okazaną pomoc i życzliwość:**

- Panu Prezesowi Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej we Włocławku Jackowi Kuźniewiczowi
- Marianowi Andrzejewskimu
- Czesławowi Piątkowi
- Jerzemu i Barbarze Lewandowskim
- Połowi Łukaszowi Zbonikowskiemu
- Włodzimierzowi Oborskiemu
- Teresie i Marcinowi Wojciechowskiemu

## Słowo wstępne

*„puszczałem najpierw do przodu pierwszą złapaną myśl,  
po czym podążałem za nią – trop w trop zbierając po drodze  
wszystko to, co do niej się przyczepiało...”*

Na początek rodzi się pytanie, co mają ze sobą wspólnego Włocławek, zjawiska paranormalne, demony i irytująca dziura w ziemi?

O czym jest nowa książka Jarka? Już po lekturze pierwszego rozdziału, czytelnik wpada w kontrolowany chaos fabuły. I wcale nie wyklucza się to, że jest to chaos poddany kontroli. Autor zachęca nas do poznania jego sposobu patrzenia na otaczającą go codzienność. Zaprasza do intymnego świata swoich myśli i przeżyć, miejsc, które lubi, problemów, które absorbują na chwilę jego uwagę. To takie skupisko luźnych uwag, inspiracji, przeczuć otaczających z pozoru zwykłego człowieka – homo familiaris, który co prawda nieźle w życiu się czuje, ale pozostaje mu pewna niecierpliwość, niedookreślenie, irytacja i kłujące, drażniące oczekiwanie na ... coś?

Narrator zabiera nas na wędrowkę po Włocławku. Pokazuje nam słodko-ironiczny portret ulubionych miejsc, dawkuje je nam, okraszając całą masą zaskakujących pół-spojrzeń i komentarzy o tym, co aktualnie przeżywa. Popada w skrajności od euforii po depresję, rzuca się w różnorodne klimaty.

Tańcząc przed nami, mamy kolejnymi maskami i odsłonami. A wszystko przesyczone mocnymi, zdecydowanymi akcentami opinii o świecie i ludziach tworzących mikroklimat miejsca, które nam autor portretuje z nieco złośliwą i gniewną swadą oraz wyraźną goryczą. Nie dystansuje się od tego miejsca. Jest jego integralną, niezaprzeczalną częścią.

Jest dla czytelnika niczym przewodnik, jednak zamiast kompetencji i wiedzy serwuje nam stan rozdygotanego oczekiwania. Przez całą fabułę towarzyszy mu silne pragnienie odkrycia, co go prześladowuje, co nie pozwala mu na spokojne korzystanie z chwili obecnej i co wreszcie narzuca mu konieczność uważnego obserwowania świata i stanów towarzyszących mu, wręcz łaskoczących skórę i przeczucia. Dlatego jesteśmy świadkami poważnych i nie-poważnych chwil w jego życiu, od rozmów o sensie i bezsensie egzystencji po strategiczne plany uśmiercenia irytującej muchy. Przeżywamy wzniosłe chwile wypełnione nieziemską muzyką, by nagle śledzić atak dzikiej, irracjonalnej czkawki. Kontrola i chaos w każdym możliwym wydaniu. Rodzi się pytanie, po co śledzić ten metafizyczny dygot bohatera w realnym świecie?

Być może po to, by odczytać wyraźne ostrzeżenie przed złem. Bohater w jasnym świetle pogodnego dnia doznaje przeblysków obcowania z ciemną stroną bytu. Mówi: „**zobaczyłem wypełzające demony ze wszystkich zakamarków ludzkiej istoty, o których aż do dzisiejszego dnia nie miałem pojęcia**”. To go stawia w stan gotowości, tylko, czego tu oczekiwać i kiedy nastąpi przebudzenie ze stanu podwyższonego zrozumienia spraw racjonalnie niejasnych?

Być może, dlatego, by popchnąć naszą z reguły skoncentrowaną na prozie i dosłowności wyobraźnię, by jej podsunąć wręcz



oniryczne wizje niezmiernego piękna, które przecież można dostrzec wokół nas. Widok motyli, „zrzucających ze swoich skrzydełek na ziemię kryształki”, adorujących bohatera w jednej z jego zaskakujących ucieczek od rzeczywistości, jest przecież zupełnie niezmierny, a jakże dla wrażliwej wyobraźni przejmujący.

A może, dlatego, bo „**czas najwyższy wyłożyć sprawy takie, jakie są one naprawdę**”? Tylko, co to, u licha znaczy? – chciałoby się w tym momencie nieco dziecinnie zapytać. Bohater próbuje, więc czytelnikowi właściwe rozwiązanie zasugerować, prowadząc go w dalsze części swojej nieco obłądno – kontrolowanej historii.

Nasz przewodnik spotyka na swej drodze mieszkankę typów i charakterów. Obok bezdomnego, świadków Jehowy, badacza zjawisk niewyjaśnionych, młodej samobójczyni i bandy trefni-siów chcących dostać się na salony – bo gdzieżby indziej. I Henryk – pasjonat od wpływu różnego rodzaju energii na człowieka i środowisko, który jeździ na bicyle. Janusz – artysta na nowo malujący świat. I wielu innych, których narrator spotyka w trakcie swojego spaceru ulicami Włocławka. Co ma z tym wszystkim wspólnego katastroficzna rozpadlina, która z jakiegoś zagadkowego powodu postanowiła pojawić się w centrum miasta i ujawnić prawdę starych pomników? I jakże to prawdę ujawnić? Ciąg pytań, które fabuła stawia, misterna wiązanka zagadek rodząca się w masie oszołomionych i sfrustrowanych mieszkańców z wyraźnie wydzielonymi z tego tłumu pozytywnie zakreconymi. Czy „skumulowana energia zaśpiewa we Włocławku”? I co to będzie za pieśń – tryumfu czy rozpacz?

Nagle zaczynamy uczestniczyć w jakiejś gigantycznej, zaczarowanej uroczystości. Skupienie, wyciszenie, powaga

i oczekiwanie. Bohater już dawno zarzucił pozory homo familiarusa, by stać się częścią nierozzerwalną tłumu, jednocześnie przekształcając się w jednostkę owładniętą obsesją poznania rozwiązania zagadki energii miasta. I wcale nie przeszkadza mu brzydki obraz tłumu, jego zakłamanie, prostactwo i wulgarność. Przelewa się to i kotłuje, nie mając pozornie wpływu na patos i podniosłość chwili skupienia przed katastrofą. Czy ona przyjdzie? Czy pochłonie?

A może wręcz przeciwnie, coś objawi!, i da hasło do rozpoczęcia wielkiego karnawału radości, szczęścia i wyzwolenia. Przyniesie nowe spojrzenie, nową wiarę, moralność, piękno. Jaka będzie ta katastrofa?

Gorzka to opowieść z momentami wiary, nadziei i piękna. Z podskórnym, wyraźnie wyczuwalnym, gniewnym oczekiwaniem na nowe, lepsze. Czy mieszkańcy miasta stojący nad brzegiem rozpadliny, którą do życia powołali, **przebudzą się**? A jeśli jakimś niezwykłym cudem tak, to, jacy?

*Bożena Laskowska*

Motto:

*A werbelki grają w gaju oliwnym  
dzisiejszego dnia usłyszałem je nad Wisłą  
– czyżby spektakl się zaczął?*

(autor: Jarosław Wojciechowski)

## Rozdział I

Moja żona Teresa dzisiejszego dnia zrobiła wyjątkowo większe zakupy. Ogarnęła mieszkanie, tak by wszystko w miarę leżało na swoim miejscu, bo dzień ten był wyjątkowo szczególny. Przyjeżdżał nasz syn Marcin. Zapowiedział swój przyjazd już jakiś czas temu dzwoniąc do mojej żony. Od kilku lat mieszka w Warszawie i tam też pracuje po ukończeniu studiów inżynierskich jako administrator sieci. Mój syn Marcin to młody i przystojny chłopak, znający kindersztubę mimo swojego ostrego charakteru. Bywa niekiedy szczery do bólu i bezkompromisowy, co tyle samo zjednuje mu przyjaciół, co oponentów. Mimo wszystko potrafi się pochylić nad rzeczywistą potrzebą drugiego człowieka nie oczekując poklasku. Muszę przyznać, że jego wygląd zewnętrzny nie budzi zastrzeżeń – dba o siebie i zawsze jest na czasie z aktualnymi trendami w modzie. Jedną ma szczególną cechę, która w jego twarzy głęboko się

wyryła – wrodzoną uczciwość i wstręt do kręactwa. Wszystko to razem sprawia, że przebywanie w jego towarzystwie jest nie tylko przyjemnością, ale i bezpieczną przystanią. Swoim nietuzinkowym sposobem bycia potrafi urzec albo rozłożyć na łopatki – do bólu. Na pewno, z kim jak, z kim, ale z Marcinem nie można się nudzić, bo komunikatywność „wyszał z mlekiem matki”. Za każdym razem ilekroć się u nas pojawia pozwalam sobie na otwartość i bezkompromisowe osądy rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć. Nie zawsze zgadzamy się, jednak potrafimy w sposób spokojny i wyważony wyłożyć swoje racje, nie zmuszając się przy tym do ich bezwarunkowego przyjęcia. Przyznam, że przy moim dość impulsywnym sposobie bycia daję sobie doskonale ze mną radę. Tak, więc nie będzie grzechem, jeśli stwierdzę, że za każdym razem byłem i jestem zadowolony z jego odwiedzin. Po krótkiej i serdecznej ceremonii przywitania usiedliśmy w gościnnym pokoju a moja małżonka Teresa udała się do kuchni by zaparzyć kawę i dokończyć obiad. Tymczasem my jak zazwyczaj od razu przeszliśmy do rozmowy, a było o czym rozmawiać. Pierwszy zagaił Marcin:

– Widzę po tobie, że chcesz mi koniecznie o czymś opowiedzieć.

– A to widać – odpowiedziałem zaczepnie.

– Oczywiście!

– I owszem aż się palię! – odparłem z przekąsem.

Faktycznie, aż się paliłem by mojemu synowi niczym karabin maszynowy wszystko od razu powiedzieć. Oczywiście miałem świadomość tego, że tak od razu wszystkiego opowiedzieć po prostu się nie da, ale jednak „ktoś” wewnątrz mnie poganiał.

- Tylko spokojnie – skwitował Marcin.
- Nie martw się dam sobie radę.
- Tak myślę.
- No, ale cieszy mnie twoja wiara!
- To, co jest?
- Wiesz, niby nic szczególnego, ale ...

Nie dokończyłem, bo myśli mi się poplątały. Tymczasem Marcin uśmiechnął się jakby do mnie i nie do mnie i głęboko westchnąwszy zająrzył mi prosto w oczy. Jego spojrzenie było przenikliwe (przenicowało mnie do głębi), po czym lekkim skinieniem głowy dał mi znać, że mnie rozumie. Jego spokój pozwolił mi się wyluzować i ogarnąć przynajmniej na tyle bym bez dalszych kłopotów emocjonalnych „wyśpiewał” to, co mi w duszy gra.

- Widzisz Marcinku, jest jednak sprawa...
- Tak tato.
- Ostatnio miewam dziwne stany ducha.
- Niepokój się wkradł?
- Niezupełnie niepokój.
- Czyli?
- Prześladowuje mnie uczucie oczekiwania...

Marcin z wrażenia zrobił wielkie oczy i zdjął okulary przecierając je kilkakrotnie irchą, po czym chrząknął ze trzy razy a może więcej i zaniżając głos zapytał:

- Na co?
- I to jest najbardziej ciekawe, że tego nie wiem.
- To jest problem.

- Zapewne i to jak cholera, ale najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że gdzieś w głębi siebie wiem, o co chodzi (czuję to!)

– I co?

– No nic, pustka w głowie, która po prostu boli.

Gdy tylko to wyrzuciłem z siebie od razu poczułem się lepiej. Tymczasem Marcin cały czas przyglądał mi się bacznie skanując każdy mój grymas twarzy, który niewątpliwie pojawiał się, kiedy mu o tym mówiłem. Zapewne moje wyznanie go zaskoczyło, ponieważ znał mnie, jako człowieka raczej silnego, który zawsze sobie radę dawał ze swoimi emocjami. A tu coś takiego! Być może teraz zmienił o mnie zdanie – dokonał korekty, kto wie być może właśnie. W każdym bądź razie zanim odezwał się do mnie, zlustrował mnie najpierw od stóp do głowy, jakby po raz pierwszy mnie zobaczył, w końcu zapytał:

– Zamierzasz tak cierpieć w nieskończoność?

– Oczywiście, że nie – odparłem.

– To, co dalej?

– No, co? Tego nie wiem, dlatego o tym ci mówię.

– To może tak na początek uporządkujmy twój problem.

– O widzisz, to jest dobre.

– Tato mam pomysł!

– Jaki?

– Zaczynj swoje poszukiwania od momentu, kiedy to wszystko się zaczęło.

– A wiesz, że ty masz rację?

Pomysł wydawał mi się świetny, jednak zanim zabrałem się do niego zrobiłem najpierw głęboki wdech i wydech. Nie wiem, dlaczego, ale byłem głęboko przekonany, że właśnie w ten sposób mogłem tylko rozbroić swoją niemożność rozkodowania siebie. Przyznam, że to nie skończyło się tylko na jednym razie. Wielokrotnie robiłem głęboki wdech i wydech

aż pomyślałem sobie, że chyba odmawiam mantrę. Kiedy wydawało mi się, że już, już uda mi się zlokalizować mój niepokój i poznać jego oblicze nieoczekiwanie mój wzrok utkwiał na grafice wiszącej na ścianie. Dostałem ją jakiś czas temu od znajomego artysty (Zbigniewa Kresowatego) w dowód sympatii. Grafika przepięknie wykonana na czarnym kartonie zatopiona w białym passe-partout. Artysta przedstawia węży z kolorowymi łuskami, którego głowa oparta o czaszkę człowieka w kolorze zieleni, dumnie uniesiona do góry, gotowa jest do ataku na swoją upatrzoną ofiarę. Z czaszki wyrasta młode drzewko dopiero, co kiełkujące. Na głowie węży artysta umieścił pegaza w kolorze bladej czerwieni ze zmierzwioną grzywą gotowego do lotu. Im dłużej spoglądałem na nią tym coraz wyraźniej docierało do mnie, że scena przedstawiona przez artystę stanie się dla mnie jakąś nierozzerwalną częścią. A czego? – tego wówczas nie wiedziałem. Przyznam, że owa myśl była dla mnie – na tę chwilę niezrozumiała. Chcąc czy nie chcąc zaadoptowałem ją i kiedy rozeszła się w moim krwiobiegu nagle doznałem olśnienia, znalazłem to, od czego mam zacząć poszukiwanie. Marcin tymczasem nie przeszkadzał w moim odlocie, choć cały czas czułem, że bacznie mnie obserwował i zapewne czekał cierpliwie na mój powrót. Myślę, że tak właśnie było, bo mimo wszystko mój syn był w gruncie rzeczy człowiekiem taktownym i delikatnym. Zresztą byłem o tym święcie przekonany i nie sądzę abym się mylił (w końcu coś po mnie odziedziczył). W każdym razie jego cierpliwość pozwoliła mi się ogarnąć i pozbierać myśli.

– Więc tak, może zacznę od nietypowego spotkania – powiedziałem w końcu powoli.

– Czyli?

– Od spotkania z bezdomnym.

– No proszę?

– Bo widzisz Marcin czekałem któregoś dnia na autobus, a że długo się nie pojawiał usiadłem sobie na ławce, bo akurat była wolna. W międzyczasie, by sobie urozmaicić czekanie, spoglądałem od czasu do czasu w niebo. Moją uwagę przykuła śnieżno biała smuga, jaka ciągnęła się za samolotem – chyba wojskowym, od czasu do czasu zmieniająca swoją barwę. Wówczas przypomniałem sobie o różnego rodzaju wypisywanych w sieci internetowej informacjach...

– Jakich?

– Już mówię.

Piszą o rozpylanych dziwnych substancjach chemicznych, które mają podobno niekorzystny wpływ na organizm człowieka. Ile w tym prawdy tego nie wiem, ale kto wie?, może jest w tym coś na rzeczy zwarzywszy na zachowania, co niektórych ludzi i zbyt dużą umieralność na wszelkiego rodzaju choroby nowotworowe. Kiedy tak myślałem nad prawdziwością tych informacji przysiadł się do mnie bezdomny. Skąd wiedziałem, że to akurat bezdomny?, ano stąd, że sam mi po chwili o tym powiedział. Mimo swojej bezdomności wyglądał całkiem, całkiem – schludnie, a mimo to czuć było od niego to „coś”, co jest charakterystyczne dla tego rodzaju ludzi. Był krótko ostrzyżony, co prawda z kilkuniedniowym zarostem, który mimo wszystko nie raził a raczej kreował jego twarz na jakąś taką intrygującą... Ubrany był w ciuchy nienajgorsze, jednak na cały obraz jego wyglądu rzucał się cień – zionęło od niego nieprzetrawionym alkoholem. Nie powiem ażeby był specjalnie



namolny – no może na początku trochę: to chciał papierosa to znowu ognia, a za chwilę złotówkę, którą chce dołożyć do piwa – jak mi oświadczył. Przyznam, że jego szczerość rozczuliła mnie, więc dałem mu upragnioną złotówkę i jeszcze dorzuciłem dwa złote – a niech tam! Niech się cieszy – pomyślałem. Żeby sklamrować moje dobre uczynki dorzuciłem mu jeszcze kilka papierosów, by chłopina miał co zapalić w chwilach swoich szczególnych zgryzot przeżycia dzisiejszego dnia. Moja „szczodrość” najwyraźniej zachęciła go do rozmowy ze mną. Chcąc nie chcąc musiałem go wysłuchać – w końcu i tak czekałem na autobus, a poza tym ciekawy byłem, co też ten człowiek mi powie. Przyznam, że po pewnym czasie jego opowieść zaczęła mnie wkręcać. Odkryłem, że mówił całkiem składnie, nienajgorszą polszczyzną, z wyraźnymi oznakami odczytania, a do tego bardzo barwnie opowiadał. To wszystko razem sprawiło, że mimo jego „wady” (cuchnącego oddechu), dopuściłem go do swojego „konfesjonału”.

– To akurat tato mnie nie dziwi.

– Tak uważasz?

– Tak.

– No dobrze, ale przyznaję, że mnie na początku drażnił.

– A to, dlaczego?

– Bo zionęło od niego „wynalazkami” na kilometr.

– Jednak wytrzymałeś dzielnie?

– Tak – cicho odparłem.

– Dzielny ojczulek! – skwitował Marcin i poklepał mnie po ramieniu.

Po czym wstał i podszedł do okna przyglądając się gołębiom. Akurat teraz siedziały na krawędzi balustrady balkonu

wypatrując na parapecie okna okruchów chleba, które zazwyczaj im rozkładałem. Przypatrywał im się dobrą chwilę, sprawiając przy tym wrażenie jakby czekał, co też one powiedzą na ten temat. W końcu strzelił kilka razy palcami i bez słowa usiadł, a ja dalej kontynuowałem swoją opowieść.

– Na początku jak się dosiadł miałem nawet zamiar coś mu nieprzyjemnego powiedzieć, albo po prostu wstać i odejść. Jednak coś mnie od tego powstrzymywało, bo pomyślałem sobie – a co tam, niech już tak będzie. W pewnym momencie wpadł w dziwny amok – bo niby nie do mnie (cały czas patrzył gdzieś przed siebie) zaczął mówić o swojej rodzinie. Mówił z takim żalem w głosie, że przyznam szkoda mi się go zrobiło i tak po ludzku żal.

– No proszę!

– A jednak Marcin.

– No dobrze i co było dalej?

– Opowiadał, że zakład, w którym pracował całe swoje dorosłe życie szlag trafił.

– Wiele zakładów wówczas padało.

– I owszem, ale nie do końca normalnie.

– To prawda Tato!

– No dobra Marcin, ale ci dokończę.

– Kończ waść!

– Mimo, że zakład jego był w świetnej kondycji to jednak upadł. Podobno ktoś go kupił za wartość jednej linii technologicznej, po czym podzielił na części i sprzedał z niezłym zyskiem.

– No to tak to budowano polski kapitalizm! – skonkludował Marcin.

– No niestety!

– Mów dalej.

– I owszem dostał zasilek tzw. „kuroniówkę”, ale była tak mizerna, że obydwójce z żoną ze śmiechu się „zatłukli”. W końcu któregoś dnia zauważył, że nie ma żony ani dzieci, że wyniosła się tak po prostu bez żadnego słowa i pożegnania. No i co? Nie pozostało mu nic innego jak „znieczulić” się dalej tym, czym do tej pory się znieczulał – wódą! Jakiś czas później dowiedział się przypadkiem, że podobno jego żona poznała Włocha, który akurat gościł na gościnnych występach w mieście i razem z nim wyjechała. A dzieci niczym kukułka podrzuciła swoim rodzicom. Dalszej historii nie zna, albo woli nie pamiętać znieczulając swój ból każdego dnia alkoholem. Tak go to znieczulanie wciągnęło, że nie zauważył, kiedy pewnego dnia wylądował na ulicy i od tamtej pory żyje jako bezdomny. I owszem niekiedy nocuje w domu opieki społecznej, ale tylko niekiedy, bo tam zbyt wiele od człowieka wymagają – trzeźwości. Ale to już historia i na tym koniec i kropka, skwitował z uśmiechem na ustach. Chcąc nie chcąc musiał się przyzwyczaić do takiego życia i do nowych kolegów, za którymi nie zawsze przepada.

Tak sobie żyjąc w końcu odkrył gdzie w mieście są wypasione śmietniki a gdzie chude. Taka wiedza jak się później przekonał dawała mu niezłe profity i co by tu nie powiedzieć – całkiem, całkiem niezłe utrzymanie. Bo ile to można wygrzebać z takich wypasionych śmietników rzeczy całkiem praktycznych i dobrych. Ma kilka upatrzonych tłustych śmietników, do których dojścia broni przed innymi zbieraczami niczym Król Midas skarbów swoich – choć ostatnio nie bardzo! Wszystko za sprawą singli, których ostatnimi laty szczególnie wysyp się

zrobił. Tacy single wypelzają na swoje żerowiska – wcześniej upatrzone śmietniki – tylko wieczorami i by nikt ich nie rozpoznał mają na głowach zaciągnięte kaptury. Wyłaniają się z mroku nagle niczym tajemnicze zjawy, poruszając się szybko i bezszelestnie na rowerach. Po drodze nie przepuszczając żadnym śmietniczkom, w których o tej porze największy jest wysyp „klejnotów” – aluminiowych puszek po napojach. Takim wejść w drogę nie jest wcale fajnie ... A tak w ogóle to wołają na niego „Parus” i właśnie wypuścili go z „dołka” gdzie przez ostatnie trzy dni rezydował. Sam za bardzo nie wie, za co tam trafił, ale pewnie musiał narozrabiać po jednym głębszym. Kończąc to zdanie spojrział tak jakoś na mnie smutno i głęboko, po czym westchnąwszy mówił dalej. Widzi Pan! Wydawało mi się całkiem tak niedawno, że jakoś wszystko mi się ułoży tym razem, że wyskoczę z tego zaklętego dołka na prostą.

– Zapytałeś go tato, co się takiego stało?

– Tak oczywiście.

– I co powiedział?

– Powiedział, że zaczęło się od spotkania jego dobrej znajomej, która przygarnęła go prosto z ulicy, tak jak stał – bo samotność okrutnie jej dokuczała. A było to szczęście w jego nieszczęściu, bo akurat wówczas szczególnej opieki potrzebował. Był właśnie kontuzjowany a raczej przez jego zaniedbanie gniła mu prawa noga. Nabawił się tego cholerstwa w czasie jednej z libacji, podczas której ugryziony został w prawą nogę przez swojego kompana od kieliszka. Niby na początku kontuzji dostawał jakieś zastrzyki, ale tylko na początku, po czym szybko o wszystkim zapomniał i tak się rana paprała i paprała aż zrobiło się nie fajnie. Propozycja znajomej o wspólnym

zamieszkaniu pojawiła się w sam raz i właściwie dzięki temu ocalił swoją nogę, bo co by tu o znajomej nie powiedzieć to właśnie ona zadbała o jego chorą nogę. Na początku wspólnego zamieszkiwania niby wszystko było dobrze – razem wszystko robili: zbierali makulaturę, puszki aluminiowe, butelki po piwie i nawet złom. Ogólnie, rzecz biorąc z tego zbieractwa była nawet niezła kasa. Na pewno starczało na jedzenie i jeszcze trochę zostawało. Udało im się tak harmonijnie pomieszkać około ośmiu miesięcy, ale jak to w życiu bywa wszystko ma swój początek i koniec i tak to u nich wypisz i wymaluj właśnie było. Któregoś dnia naszła ich nagła potrzeba wypicia kilku szklaneczek wódki i to tej wódki najlepiej mu znanej, czyli z najtańszego źródła. Jak się później okazało, źle się to dla nich obojga skończyło.

– A co pili? – zainteresował się Marcin.

– Zaraz niech sobie przypomnę...

Za bardzo nie pamiętałem, ale wiem, że alkohol, który spożywali ma swoją specyficzną nazwę w ich środowisku i jest „wyjątkowo terapeutyczny”, bo wykrzywia stawy. Nie wiem dlaczego, ale zaśmiałem się głośno. Może, dlatego, że przypomniało mi się, jak kilku podobnych do niego bezdomnych widziałem na mieście po spożyciu tego specyfiku – wyglądali strasznie sprawiając wrażenie jakby narobili w gacie, a do tego nogi mieli powykręcane i poruszali się niczym lunatycy. Przyglądając się smakoszom tego trunku, od razu można było poznać, co pili.

– To, co? – nie odpuszczał Marcin.

– Zaraz już mam na końcu języka – wyjąkałem.

– Czyli?

– Marcin tylko mnie nie poganiaj, na pewno sobie przypomnę.

Uruchomiłem swoją wyszukiwarkę w głowie próbując odnaleźć nazwę tego ich szczególnego specyfiku. W końcu, po dłuższym przeszukiwaniu, nazwa sama mi wpadła na koniec języka.

– Marcin już wiem! – krzyknąłem, jakbym odnalazł w głowie coś wyjątkowego.

– Czyli?

– Pampa! – powiedziałem triumfalnie.

– Spokojnie ojciec, co tak się emocjonujesz?

– Tak jakoś mi się krzyknęło – głupio się tłumaczyłem.

– Co to ta „Pampa”? – zapytał.

– No właśnie? Parusa o to zapytałem z ciekawości.

– To, co to za wynalazek? – Marcin nie odpuszczał.

– Spirytus do przemywania zmarłych.

– O cholera! Ohyda przyznasz? – wzdrygnął się na całym ciele Marcin.

– No właśnie!

– Dobra tato, mów dalej.

– Otóż, po wspólnym spożyciu kilku szklaneczek tego szczególnego trunku „coś” tam się stało, czego za bardzo nie pamięta a może i nie chce pamiętać. Jeśli cokolwiek już pamięta to, na pewno to, że został wyprowadzony przez policję i pod eskortą odwieziony na dołek. Dalej to już statystyka w kronikach policyjnych.

– Rozrabiaka z tego Parusa! – powiedział Marcin gorzko się uśmiechając.

– I owszem, ale to jeszcze nic – powiedziałem z przekąsem.

- A co jeszcze? – zapytał Marcin.
- Parus oświadczył, że ma w głowie trzy diabły.
- Chyba żartował?
- Nie wyglądał na żartownisia.
- Nie?
- Nie sądzę.

Marcin zamyślił się i niby odruchowo zaczął wystukiwać palcami po stole fragment arii z „Aidy” Giuseppe Verdiego. W tym momencie przypomniałem sobie jak przed laty razem wybraliśmy się do opery właśnie na „Aidę” i jakie na nas obu zrobiła ogromne wrażenie. Przyznam, że to jego wystukiwanie obudziło moją wyobraźnię, usłyszałem wyraźnie instrumentację „Aidy”, bardzo barwną i porywającą, aż ciarki przez plecy mi przeleciały. I usłyszałem szeroko rozbudowany obraz dźwiękowy stworzony z dźwięku g, brzmiącego jednocześnie w czterech różnych oktavach, przywołujący skojarzenie z wodą – Nilem, wprowadzając w nastrój ponadczasowości. A głosy pierwszych skrzypiec, które słyszałem obejmowały cztery oktawy. Nie chcąc dać poznać po sobie, że myślami byłem gdzie indziej szybko wróciłem do rzeczywistości. Jednak nie mogłem pozbyć się ze swojej głowy melodii z „Aidy”.

- Jak powiedziałem, nie sądzę by kłamał.
- To, co o nich mówił?
- Pierwszy diabeł to ten, który z nim pije...
- No proszę, jaki smakosz!
- A drugi to jakiś chyba agent (tylko czeka...)
- Ciekawe, na co?
- Dobre pytanie Marcin – na co, ale tego już mi nie powiedział z ostrożności chyba.

Marcin uśmiechnął się pod nosem, po czym kilka razy ot tak sobie zaklaskał i jakby tego było mało zaczął wystukiwać małą łyżeczką o filiżankę z niedopitą kawą fragment melodii Ryska Riedla „W życiu piękne są tylko chwile”. Wyczerpawszy swój muzyczny repertuar spojrzał mi głęboko w oczy i z przekąsem powiedział:

- No popatrz, jaki cwany ten Parus.
- Cwany nie cwany, ale przezorny – odparłem przekornie.
- Jakby tego nie nazwał na jedno wychodzi.
- A ten ostatni diabeł? – dopytał Marcin.
- A trzeci diabeł to najbardziej rozmowny...
- Kto by się tego spodziewał?
- No właśnie.
- A co chciał?
- Ciągłe mu opowiadał o grzechach śmiertelnych.
- I co o nich opowiadał?
- Jaka jest wielka radość duszy z ich posiadania.
- No proszę, niezły agitator.
- To prawda.
- A swoją drogą ciekawe gdzie był szkolony?
- To dobre pytanie.

Gdy zamilkłem, przez dłuższą chwilę zapadło milczenie, po którym ni stąd ni zowąd Marcin dostał nieoczekiwanie napadu śmiechu:

– Ha!, ha!, ha!, ha!, ha!

Śmiał się tak głośno, że Teresa, czyli moja żona z ciekawości zajrzała do pokoju przypatrując się nam uważnie. Pewnie zadawała sobie pytanie, co też takiego się stało, że Marcin takim gwałtownym śmiechem zareagował. W końcu nie wytrzymała i zapytała.



- A co wam chłopaki tak wesoło?
- A nic takiego – jednocześnie nieomalże razem odparliśmy.
- Czyli? – nie odpuszczała żona.
- Taką jedną historyjkę Marcinowi opowiedziałem.
- To może i ja posłucham?, jeśli tak was ona bawi.
- I owszem, ale innym razem – co?
- Jak uważasz.
- Nie gniewaj się, przepraszam!
- No dobrze i tak mam swoje zajęcie w kuchni.

Chcąc nie chcąc musiałem jakoś ten atak śmiechu Marcina przetrzymać, choć przyznam, że głupio mi się zrobiło i niezręcznie. Wcisnąłem się w fotel i nie przeszkadzając mu cierpliwie czekałem, kiedy ten atak śmiechu mu minie. Wyśmiawszy się Marcin zapytał:

- I co z nim było dalej?
- Tego nie wiem, bo akurat autobus podjechał i go zostawiłem na przystanku.
- Może szkoda, że dłużej z nim nie rozmawiałeś...
- A no właśnie.

Kiedy skończyłem mówić, zapadło milczenie. Marcin przyglądał mi się dość uważnie, po czym przeczesał włosy palcami cały czas uśmiechając się do mnie, a może do siebie. Nie odzywając się do siebie wypiliśmy kawę. Nasyciwszy się smakiem kawy i jej aromatem odłożyłem filiżankę na bok i zapytałem Marcina:

- Masz jeszcze ochotę mnie wysłuchać?
- Czemu nie.
- To jak, nie zagadałem cię?
- Oj, tato skąd by znowu!

- Pytam, dlatego bo chciałem jeszcze o czymś ci powiedzieć.
- Proszę.
- Marcin, od pewnego czasu w TV oglądam program z pogranicza zjawisk paranormalnych.
- Ciekawy?
- Owszem, ciekawy.
- I co w związku z tym?
- Niby nic specjalnego, choć..., no właśnie.
- A dokładniej?
- W ostatnim programie było o zaburzeniach w czasoprzestrzeni. Przyznam, że to mnie zaintrygowało i to nie na żarty. Facet podawał wiele ciekawych przykładów, które na przestrzeni iluś tam lat miały miejsce na świecie i również u nas w Polsce, ale nie to chciałem ci powiedzieć, albo może i to, tylko troszkę inaczej.
- Spokojnie tato, powoli.
- Przyznam Marcin, że trochę teraz się zamotałem.
- Zauważyłem.
- To wcale nie jest takie głupie.
- Tak też i ja myślę!
- Otóż jak oglądałem ten program to miałem ogromne wrażenie, że ja już kiedyś z czymś takim się zetknąłem.
- Tak czasami się to zdarza...
- Być może, ale jak o tym dłużej myślę to nabieram coraz większego przekonania, że to mi się chyba kiedyś przytrafiło.
- Tylko taka myśl?
- No niezupełnie.
- Czyli?
- No właśnie, czyli.

– Więc jak?

– Jakby ci tu powiedzieć? Miewam czasami tzw. „przebiecia” i widzę jakieś obrazy i sytuacje, które już widziałem lub kiedyś przeżyłem.

Na twarzy Marcina pojawił się szeroki ciepły uśmiech, a oczy jego zrobiły się duże i takie przekorne, nie do końca przekonane o tym, co w ogóle do niego mówię. Po jego twarzy widać było, że jednak zamierza ciągnąć dalej ze mną tę rozmowę.

– No to ciekawie zaczyna się robić – powiedział.

– Marcin, ja całkiem poważnie ci o tym mówię.

– Tato ja ci wierzę, ale przyznaj, że jest to takie – no... nie dokończę.

– Naciągane?

– Owszem, tylko nie obraż się na mnie.

– No skąd, rozumiem masz prawo tak myśleć.

– Oj tam, nie jest tak źle.

– Łaskawy jesteś Marcin.

– Co sobie w ogóle przypominasz?

– Czy ja wiem – odpowiedziałem niezdecydowanie, odruchowo podrapawszy się po głowie. Choć faktem niewątpliwym było, że jakieś luźne fragmenty widzę jak przez mgłę. Na przykład, widzę, że w naszym mieście na Placu Wolności coś się dzieje szczególnego. Ludzie biegają we wszystkie strony jakby szaleju się najedli. Jedni pieśni śpiewają, drudzy biją brawo, a jeszcze inni jak zaczarowani w jednym kierunku spoglądają, po co i po jakiego „diabła”?, tego nie potrafię wytłumaczyć.

Kiedy tylko wypowiedziałem słowo „diabła” usłyszałem jak ktoś do ucha mi szeptał – no pięknie, że pamiętasz o mnie, już

cię lubię. A tam lubię – KOCHAM! Ten ktoś szepnął tak słodko, że ta słodycz mnie zatrwożyła. Na samo brzmienie tego głosu zadrzałem cały w posadach. Dobrze, że był przy mnie Marcin i do mnie mówił, bo nie wiem jakbym się zachował.

– Tato, tak czy owak coś już mamy!

– Na pewno to prześladowająca mnie myśl, niby tak bardzo infantylna, a jednak upierdliwa.

– Takie myśli są najgorsze.

– A skąd wiesz o tym?

– Nieraz takie „cholerstwo” mi się przyplątało.

– No to mnie zapewne rozumiesz?

– I owszem, ale skupmy się teraz na tobie.

– Oczywiście.

– To może jaśniej mógłbyś mi powiedzieć.

– Już wyjaśniam.

– Ta upierdliwa i zarazem infantylna myśl jest we mnie, w mojej głowie.

– A jaśniej, co to za myśl?

– A no właśnie, myśl namawiająca mnie do jak najszybszego udania się na małą czarną do jakiegoś w mieście lokalu.

– No rzeczywiście infantylna.

– Widzisz?, choć od razu przyznam, że bardzo lubię niekiedy w fajnym lokalu wypić sobie kawunię a zwłaszcza jak jest miła obsługa i klimat taki jakiś... – zawiesiłem głos.

– Ciekawy? – rzucił Marcin.

– O tak właśnie! – kiwając najpierw głową cicho powiedziałem.

Marcin spojrzał na mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem, w którym mogłem odczytać, że dobrze wiedział, co się

kryło dla mnie pod słowem – ciekawy. Przyznam, że na samą tę myśl zrobiło mi się miło – cóż!, w końcu był to mój syn – pomyślałem po chwili dodając:

– Ale wiesz Marcin, żeby aż tak mnie przypiliło do wypicia filiżanki kawy, akurat w lokalu, to po prostu niepodobne – przyznasz?

– Oj tam niepodobne, takie gadanie – odparł Marcin.

– I owszem, ale jest to jakby nie patrzeć natręctwo.

– Zapewne, ale na co czekasz?

– Jak to, na co? Na rozwiązanie.

– Tato, rozwiązanie jest proste ...

– Czyli?

– Idź po prostu na kawę!

– Tak myślisz?

– Oczywiście.

Czy rozmowa z Marcinem coś mi dała? Myślę, że chyba tak, a w każdym razie mogłem się przynajmniej komuś wygadać i wyrzucić moje „zakręcenia”, by w miarę rozwoju dyskusji jakoś je poskładać. Przynajmniej teraz na pewno wiem jedno, że na moje natręctwo myśli, co prawda infantylnej, jest tylko jeden sposób, jaki zasugerował Marcin – po prostu udać się do wybranego lokalu i wypić kawę. Dalszą rozmowę przerwał nam domofon – ktoś się do nas dobijał i jak się po chwili okazało był to bratanek mojej żony – Paweł Kura. Paweł był zaledwie o kilka lat starszy od mojego syna i co by tu dużo nie powiedzieć – podobny do niego. Przyznam, iż bardzo go lubiłem, bo to delikatny i wrażliwy chłopak, a do tego bardzo życzliwy i rodzinny. Paweł jeszcze będąc w przedpokoju już z nami się witał głośno wołając:

– Witam wszystkich!

– Witaj Pawełku – odpowiedzieliśmy razem jednocześnie dodając – jak wejdiesz siadaj obok wujka.

Od razu odruchowo położyłem prawą dłoń na miejscu gdzie ma usiąść. Paweł zanim usiadł podał każdemu z nas z osobna rękę przez dłuższą chwilę przetrzymując uścisk jakby dając tym samym nam do zrozumienia o swojej otwartości. Siadając rozejrzał się po pokoju, po czym zlustrował nas bystro – zapewne chciał się upewnić czy nie jest intruzem. Spostrzegłszy to Marcin od razu zareagował:

– Spokojnie Paweł nie przeszkadzasz nam, a wręcz przeciwnie! Tylko możesz swoją obecnością i swoim słowem naszą rozmowę ubogacić...

Paweł uśmiechnąwszy się pod nosem przez chwilę milczał, po czym jak gdyby ośmielony słowami Marcina zapytał bez ogródek:

– A, jeśli można wiedzieć to, o czym była rozmowa?

– Rozmawialiśmy o zjawiskach paranormalnych i o ostatnim natręctwie mojego ojca – powiedział Marcin uśmiechając się przy tym.

Paweł od razu nic nie odpowiedział - milczał. Widać po jego minie było, że przyjął słowa Marcina całkiem poważnie. W końcu po dłuższym milczeniu najwyraźniej znalazł odpowiedź, którą uznał za właściwą na tyle właściwą by z nami z nią się podzielić:

– Nie znam się na tym, ale słyszałem coś o tym... a zresztą (kontynuował rozmowę dalej) moja Pani czyli moja dziewczyna Renatka Gołasińska zauważyłem, iż ostatnio zainteresowała się zjawiskami paranormalnymi. Tak to ją zajmuje, iż czy chcę

tego czy nie sam nie wiedząc nawet kiedy wskakuję w ten jej „świat” którego próbuje poznać i przyznam, że to wciąż.

– No proszę – powiedziałem na głos Marcin.

– To co o tym powiesz ? – zapytałem.

– Otóż, że to całkiem ciekawe zagadnienie – powiedział Paweł dość lakonicznie.

– To już wiemy – powiedziałem.

– Ojcu po głowie wciąż lata upierdliwa myśl – powiedział Marcin.

– Jaka? – dopytywał Paweł.

– Że musi udać się na kawę do jakiegoś lokalu w mieście – powiedział Marcin.

– To niech idzie i po sprawie – krótko rzucił Paweł.

– Też tak ojcu powiedziałem – powiedział Marcin.

I znowu na głos, tym razem z Pawłem jakby się zmówili zaczęli śmiać się klepiąc mnie przy tym dobrotliwie po plecach. Nie powiem, ale zrobiło mi się tak jakoś głupio i nieswojo. No cóż, pomyślałem – różnica pokoleń robi swoje. Gdy tak siedziałem zamyślony ktoś zadzwonił domofonem. Moja żona Teresa nie reagowała, bo akurat była w kuchni zajęta przygotowaniem obiadu. Wstałem i wyszedłem z pokoju by zobaczyć kóż się do nas dobija. Podniosłem słuchawkę domofonu:

– Tak proszę!

– To ja Natalia! Otwórz tato.

To moja córka Natalia przyjechała z Płocka zapewne ze swoim mężem Maćkiem i rocznym labradorem o imieniu Tito. Jest to świetny pies dobrze ułożony, posłusznie wykonujący wiele poleceń, a przy tym bardzo żywiołowy. Kiedy jest u nas zawsze go w całym mieszkaniu pełno, choć muszę przyznać

stanowi to pewien kłopot. Mój pies Morris nie toleruje psa Natalii w mieszkaniu i niestety trzeba ich umieszczać w osobnym pokojach. Ledwo weszli do mieszkania Tito pierwszy ze mną się przywitał – skacząc z nieopisaną radością od razu na mnie. Nie było rady musiałem z nim się przywitać i to na jego warunkach pozwalając mu, jak moja żona mówiła, na zbyt wiele. Pewnie i tak było, ale kocham zwierzęta i nie sprawia mi żadnej trudności pozwalanie psu na trochę więcej. Po tak szczerym i wylewnym przywitaniu Tito pobiegł od razu do kuchni przywitać się z moją żoną Teresą i pewnie przywitawszy się z nią, skoczy od razu do pokoju przywitać się z chłopakami. Tymczasem moja córka Natalia i jej mąż Maciek mogli teraz spokojnie ze mną się przywitać.

- Witaj tato.
- Witajcie.
- Mieliśmy wolne – to jesteśmy.
- To miłe!

Witając się ze mną Natalia ukradkiem zajrzała do pokoju spostrzegając Marcina i Pawła:

- O widzę, że Marcin jest i Paweł.
- No właśnie, tak siedzimy i rozmawiamy sobie – powiedziałem.
- Cześć chłopaki! – zawołała Natalia.
- Witajcie! – powiedział Marcin.
- A co, mamy nie ma? – zapytała Natalia.
- Jest w kuchni, obiad szykuje – powiedziałem.

Nie wchodząc do kuchni Natalia z przedpokoju zawołała:

- Witaj mammo!
- Cześć dzieciaki! – odpowiedziała Teresa z kuchni.



Tymczasem Natalia wprowadziła swojego męża Maćka do pokoju.

– Maciek, pogadaj z chłopakami, a ja z tatą wyjdziemy troszkę pobiegać, jak mówiłam ci po drodze.

– Dobrze kochanie!

Moja córka to wysoka, szczupła kobieta o oczach brązowych, w których zakochać się można do szaleństwa. Do tego długie, czarne włosy dopełniają całości jej urody. Po jej szybkich skoordynowanych ruchach od razu poznać można było, że ma często do czynienia ze sportem. Nic dziwnego, w końcu ukończyła gdański AWF.

– Tato, szykuj się.

– Na co?

– Nie udawaj, wiesz, że idziemy biegać.

– No tak!

Chcąc nie chcąc musiałem się ubrać w miarę stosownie do biegania i iść z moją córką skoro tak sobie życzyła i oczywiście z jej pieskiem – Tito. Musze powiedzieć, że warunki do uprawiania sportu mamy idealne – gdyż las niemalże za oknem, ścieżki zdrowia i międzyosiedlowy stadion „wyrąbany w leśnej polanie” w latach 70. ubiegłego wieku. A co najważniejsze to póki, co żadnego telewizora na drzewach nie ma i żadnej tabliczki z napisem – „WSTĘP ZABRONIONY TEREN PRYWATNY”. Kiedy tak truchtem biegliśmy nagle naprzeciwko nas wybiegła z przecinającego naszą ścieżkę szlaku leśnego młoda, może 16 lat mająca, dziewczyna – krzycząc:

– Zboczeniec!, Zboczeniec!

Dziewczyna była przerażona i roztrzęsiona, widać było, że właśnie przed chwilą doznała szoku. Widząc nas od razu

skierowała się w naszą stronę. Kiedy tylko podbiegła moja córka chwyciła ją za rękę i spokojnie zapytała:

– Gdzie ten zboczeniec.

– Tam! Tam! Za tym drzewem stoi – wskazała dziewczyna.

Spojrzeliliśmy we wskazanym przez dziewczynę kierunku i rzeczywiście po drugiej stronie ścieżki stał pod drzewem jakiś człowiek, wyglądający na jakieś trzydzieści parę lat. Na pierwszy rzut oka pozornie mogłoby się wydawać, że nic takiego się nie działo. Jednak przyglądając mu się uważnie zaobserwowałem, że nerwowo grzebał w okolicach swojego rozporoka, chcąc zapewne jak najprędzej schować swoje przyrodzenie.

– To on? – zapytała moja córka.

– Tak, to on! – potwierdziła przerażona dziewczyna.

– Ty skurwielu! – krzyknąłem odruchowo i ruszyłem w jego kierunku.

W tym momencie poderwał się i zaczął uciekać niczym spłoszone zwierzę, po chwili znikając w lesie. Nie goniłem go, bo i tak nic by to nie dało – za dużą miał nade mną przewagę i dogonienie go graniczyło raczej z cudem. Mimo wszystko całe szczęście, że Natalia zdążyła w porę przywołać swojego psa „Tita” – bo nie wiadomo, jakby to się skończyło dla „zboczka”. Niemniej profilaktycznie moja córka zadzwoniła na policję informując o całym zajściu w nadziei ewentualnego monitorowania na przyszłość przez stróżów prawa najbardziej uczęszczanych szlaków leśnych. Odprowadziliśmy dziewczynę w bezpieczne miejsce skąd mogła spokojnie wrócić do swojego domu. W drodze powrotnej porozmawialiśmy z Natalią o całym zajściu. Pierwsza zagadnęła moja córka niby tak od niechcena.

– I kto by się spodziewał, że takie rzeczy mogą się przytrafić?  
– Nigdy nic nie wiadomo, co nam się może przytrafić – cicho powiedziałem.

– I co o tym sądzisz? – zapytała Natalia.

– Widzisz Natalka, to nieszczęśliwi ludzie.

– Chorzy!

– Tak właśnie, bo dla takiego człowieka najważniejsze i dające satysfakcję jest wywołanie lęku, szoku u mimowolnego uczestnika zdarzenia, co zwiększa podniecenie, kiedy demonstruje swoje narządy płciowe lub się masturbuje.

– To jest chore!

– I owszem, że jest!

– Wiesz, co tato, nie rozmawiajmy już o tym.

– Jak sobie życzysz.

Na tym zakończyliśmy naszą rozmowę. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu od czasu do czasu rozglądając się na boki. W końcu Natalia przyspieszyła kroku i nie oglądając się na mnie zaczęła biec lekkim truchtem. Oddaliwszy się kawałek ode mnie, nie odwracając się, głośno zawołała do mnie:

– To, co?, pobiegniesz za mną?

Wiele się nie zastanawiając najpierw przyspieszyłem kroku, po czym po chwili zacząłem biec lekkim truchtem za nią. Przyznam, że taki delikatny trucht dobrze mi nawet zrobił na duszy. Kiedy już dogoniłem Natalię zawołałem do niej:

– A wiesz, że dobry pomysł z tym bieganiem miałaś!

– Tak uważasz?

– Właśnie tak!

– To mnie cieszy.

– Szkoda tylko, że tak rzadko razem biegamy.

Natalia nie od razu mi odpowiedziała tylko odwróciła głowę w moją stronę i tak jakoś wymownie spojrzała na mnie lekko się uśmiechając, po czym zatroskanym głosem rzuciła:

- Jak się zmęczysz to powiedz.
- Spokojnie Natalka, dam radę!
- No to jesteś dzielny tatuś.
- Tak też zawsze sądziłem.

I tak sobie truchtem biegliśmy obok siebie aż do samego domu. Po drodze przy tej okazji od czasu do czasu wymieniając się swoimi spostrzeżeniami, które bywają niekiedy w życiu nieznośne i dokuczliwe. Na przykład dowiedziałem się, co też mojej córce ostatnio leży na sercu... i jakie są jej marzenia. Jeśli wówczas, czegokolwiek żałowałem to tylko tego, że tak rzadko z córką spędzam czas na świeżym powietrzu.

## Rozdział II

W końcu posłuchałem sugestii mojego syna Marcina i któregoś dnia postanowiłem wybrać się na jedną małą czarną do któregoś z wrocławskich lokali. Nie zastanawiałem się specjalnie, do którego mam iść. Ot tak! Po prostu pójdę przed siebie i wejdę do tego lokalu, który po drodze akurat mnie sobą urzeknie. Tak, jak pomyślałem, tak też zrobiłem. W końcu najważniejsze było to, co też mnie tak gna do tej kawy i to, o co w tym wszystkim chodzi.

Już wychodząc z domu doznałem pierwszego wstrząsu – lekki dreszcz przeszył moje ciało. Idąc na przystanek autobusowy cały czas prześladowało mnie przecucie, że dzisiejszego dnia coś szczególnego się wydarzy, że będzie to ciąg zdarzeń kolejno następujących po sobie, odsłaniających to, co do tej pory wydawałoby się niemożliwe, a jednak stało się możliwe. A to, co nas otacza – czym my się otaczamy, wcale nie musi być takim, jak je w tej chwili postrzegamy.

Tak! Czułem tego dnia, że coś się dzieje ze mną niezwykłego a w każdym bądź razie nietypowego. Wyczuwałem narastające we mnie podniecenie i jednocześnie jakąś nerwowość i lęk – no może nie tyle lęk, co obawy przed zbliżającą się zmianą mojego postrzegania rzeczywistości. Tak sobie to wszystko po drodze w głowie ustawiłem. Gdy tak szedłem, chwilami wydawało mi się, że ulica nakłada się na ulicę zachowując przy tym swój

pierwotny stan, mimo, że jej duplikat żył swoim życiem. Na ten czas jeszcze nie wiedziałem, jak daleko zajdą we mnie te procesy. Im bardziej o tym myślałem, tym bardziej owa myśl wywoływała we mnie przekonanie, że co, jak co, ale stanę oko w oko ze zjawiskami, a może wydarzeniami, o których nawet nie śniłem. Sama myśl o tym przyprawiała mnie już o gęsią skórkę, i lekkie drżenie na całym ciele razem z zimnym potem na plecach – brrr!, brrr! – trząsałem się cały. Uczucie to było tak silne, że przez całą drogę tylko ono mi towarzyszyło, zachłannie próbując podporządkować wszystkie moje myśli. W końcu wdrukowało się we mnie i chcąc tego czy nie, zostałem naznaczony – czułem to we wszystkich zakończeniach nerwowych. Nie pozostało mi już nic innego jak przyspieszyć kroku i gnać ile „fabryka sił w nogach dała” do przodu – byle szybciej i szybciej wyjść na spotkanie tego, co nieuchronnie miało się wydarzyć.

Kiedy dotarłem na przystanek autobusowy było prawie pusto. I całe szczęście – głośno pomyślałem. W tym stanie ducha nie pragnąłem przypadkowego towarzystwa. Czekałem około kwadransa zanim mój autobus linii nr 17 podjechał. Jak zwykle było w nim tłoczno. Dojazd do śródmieścia trochę potrwał zanim autobus przebił się przez korki uliczne. Trudność dotarcia wynikała z przeciągających się prac drogowych, których końca nie było widać. Nie znam się na robotach drogowych, ale przyznać muszę, że taki stan rzeczy na dłuższą metę był nie do zniesienia. Czułem, że lokal, który dzisiejszego dnia jest mi przeznaczony za niedługo objawi mi się – tak po prostu – ha!, ha!, ha! – na samą tę myśl zaśmiałem się na głos.

Kiedy już w końcu autobus przebił się przez korki i dotarł na przystanek, na którym wysiadłem a który znajdował się na

wysokości Placu Wolności w centralnym punkcie miasta, usłyszałem jak serce zaczęło mi walić niczym młot. Ledwo przeszedłem może trzy, albo cztery kroki poczułem pod stopami delikatną wibrację ziemi. Choć to trwało ułamki sekund, ale jednak trwało, o czym byłem całkowicie przekonany. Rozejrzałem się dookoła czy przypadkiem nie są prowadzone jakieś roboty ziemne, jednak nic takiego w okolicy się nie działo. Gdy tak rozglądałem się, jedna rzecz zaintrygowała mnie szczególnie – dziwne zachowanie gołębi. Zawsze gromadnie oblegały okolice stojącego pośrodku Placu Wolności pomnika, postawionego przez mieszkańców miasta, jak na nim głosi napis w holdzie „Żołnierzowi polskiemu walczącemu na wszystkich polach bitew”. A jednak tym razem trzymały się od tego miejsca z daleka – dziwne, pomyślałem. Przyznam, że odkąd sięgnę pamięcią nigdy nie spotkałem się z czymś takim w mieście Włocławku – cóż! I tak bywa. Z takim przeświadczeniem, nawet nie wiedząc, kiedy przekroczyłem próg Restauracji „Impresja”, którą najwidoczniej „ktoś nie przypadkowo postawił na mojej drodze”.

Zazwyczaj w każdym lokalu siadam przy oknie, oczywiście, gdy tylko jest wolne miejsce. Tym razem ku mojej radości takie miejsce było i nim usiadłem po drodze zamówiłem u kelnera małą czarną. Oczekując na kawę zabawiałem się sam ze sobą, puszczałem najpierw do przodu pierwszą złapaną myśl, po czym podążałem za nią – trop w trop, zbierając po drodze wszystko to, co do niej się przyczepiało. Tym razem jednak moja zabawa trwała dość krótko, gdyż pogoda wyjątkowa – słoneczna, niesprzyjająca siedzeniu w pomieszczeniach, więc nie pozostało mi nic innego jak przeniesienie się do kawiarnianego ogródka.

Ogródek był usytuowany na tyłach lokalu w miejscu isticie urokliwym – bo otoczonym drzewami kasztanowca, do tego w scenerii starej karczmy. Przebywając w tym otoczeniu czuło się wyjątkowy smak i zmysł artystyczny osoby, która zajmowała się wystrojem – zadbawszy o najdrobniejszy szczegół. Do tego miejsca dostać się można było przez lokal i przez otwartą na oścież bramę, w którą można było wejść z ulicy. Przed otwartą na oścież bramą oprócz stojącego na boku kolorowego szyldu zapraszającego gości, stał mały brązowy stolik a na nim gliniany wazonik z polnymi kwiatami. Urokliwie to wyglądało i prawdę powiedziawszy nie sposób byłoby tego nie zauważyć. Myślę, że nie tylko mnie ten akcent zachęcał do wejścia, ale działał także na przechodniów, niekoniecznie akurat idących do lokalu. Przenosząc się do tego urokliwego zakątka usiadłem pod daszkiem imitującym strzechę wiejskiej karczmy usytuowaną w prawym rogu ogródka. Usiadłem tak by mieć widok na ulicę – lubiłem obserwować wszystko to, co na niej się dzieje, ludzi przechodzących i przejeżdżające samochody, jak i dochodzące odgłosy ulicy. Nim się spostrzegłem a stał już przy mnie kelner z tacką – jak się po chwili dowiedziałem o imieniu Marcin.

– Proszę małą czarną!

Nie czekając na moją reakcję grzecznie ze znajomością swojego fachu postawił przede mną zamówioną filiżankę parującej kawy.

– Dziękuję – odpowiedziałem nie przerywając obserwacji ulicy.

Kiedy oddalił się rozpocząłem mój ceremoniał – degustację. Najpierw od zapachu a dopiero po chwili nasyciwszy się



aromatem, przeszedłem do określenia smaku, koniuszek języka delikatnie maczałem w kawie, po czym uzyskaną drobinę aromatycznej kawy rozsmarowywałem na ustach – co za boskie uczucie! Gdy w końcu dopijałem kawę nagle doznałem „ośnienia” – dziwnego uczucia, które poprzedził delikatny zapach gorzkiej maliny – słodki przyjemny aromat malin dojrzewających w promieniach słonecznych. Ach! Jak pięknie pachniało, aż zakręciło mi się w głowie z doznanego wrażenia. Jednak ten obezwładniający zapach jak nagle się pojawił tak nagle się ulotnił pozostawiając nieokreślony niedosyt. Chyba wówczas, w tym momencie, przeżyłem ostatni etap mojej pomrocności jasnej, której nabawiłem się zbytnią wiarą w rodzimych polityków, począwszy od lewa do prawa. A skąd było we mnie takowe przekonanie, że to jest właśnie ten ostatni etap? Tego nie potrafię wyjaśnić, po prostu wiedziałem i na tym koniec i kropka dalszych moich dociekań! Stało się to w ciągu tak zwanej jednej przysłowiowej chwili, a dokładniej pomiędzy ostatnimi łykami dopijanej kawy, w której ujrzałem mój dotychczasowy świat. Patrząc na niego czułem jak pęcznięję ze złości i żalu do siebie, do całego świata, zadając sobie pytanie – jak to było możliwe, że byłem aż taki głupi i naiwny – a jednak byłem!, bo uwierzyłem w tzw. nowy porządek świata...

Na pocieszenie, co najwyżej mogłem sobie tylko dośpiewać, że co, jak co, ale nie byłem w tym na pewno odosobniony – czy to mi pomogło? I tak i nie. Na tę chwilę bardziej mnie zajęły moje obawy, co do mojego stanu psychicznego, bo nie były one ot takie sobie, bezpodstawne. Czułem, a raczej byłem przekonany, że za chwilę rozerwą mnie na strzępy, jeśli czegoś tu i teraz nie zrobię i to natychmiast. To moje silne przekonanie,

osiągnąwszy swój punkt krytyczny, wywołało spazmatyczny szloch, być może na krótko, ale jednak. Płakałem łzami wielkimi niczym groch (dochodziło do moich uszu ich dudnienie), łzy spadały na stolik, przy którym siedziałem. I stało się! Znalazłem się w oku cyklonu, który najpierw zerwał z moich oczu zasłonę – oj jak zabolalo!, bo tak ostro i kurewsko prawdziwie ujrzałem wszystko to, co do tej pory ze mną się działo – to, kim dotychczas byłem i kim się stawałem i na czyj obraz i podobieństwo, a raczej okropieństwo! Wykrzykując głośno drżałem cały niczym osika. Z wrażenia i emocji aż czkawki dostałem, więc czekałem bez opamiętania na głos.

Moje zachowanie nie omieszkalo zwrócić uwagi przebywających gości i myślę, że nie było im wcale, i to wcale do śmiechu. W końcu dochodziły do moich uszu niezbyt przyjazne pomruki (rozgrzeszałem się, bo co mogłem w tej sytuacji zrobić?)

– Co za facet niewychowany! – z końca sali ktoś rzucił podniesionym głosem.

– Nie tylko niewychowany, ale chamski – po chwili wtórował ktoś siedzący za mną.

– Lepiej by zrobił wychodząc z lokalu – dość głośno rzuciła ładna blondynka siedząca jeden stolik przede mną (wyzywająco patrząc mi się prosto w oczy).

Nie wytrzymałem jej spojrzenia uciekając wzrokiem gdzie tylko popadło – to na stolik, to na kamienny bruk czy w końcu na jej zgrabne nogi. Muszę przyznać, że jej piękne nogi na dłużej przykuły mój wzrok. Poza tym siedziałem cicho jak trusia, bo niby cóż miałbym im powiedzieć – może przepraszam?, albo prawdę, że wizję miałem czy coś tam podobnego. Zapewne ktoś by mnie posądził, że niechybnie napaliłem się zioła

albo, co gorsza, przyjąłem ścieżkę białej damy. W końcu, gdy czkawka minęła, dla rozluźnienia i złapania równowagi, zacząłem nucić pod nosem piosenkę Maćka Maleńczuka „Gdzie są przyjaciele moi”. By łatwiej mi się śpiewało wystukiwałem jednocześnie melodią palcami o blat stolika.

„Nie jestem winien, nikt mi nie dłużen  
tak po trochu dogorywam  
trochę do tyłu ciągnę mój wózek  
trochę do przodu go czasem pcham

Inni igrają moim losem  
ja milczę jak pies  
jeszcze chwila, jeszcze trochę  
i zapomnę cię”

Kiedy skończyłem „swój występ” mówiłem półgłosem do siebie i nie do siebie, powtarzając wypowiedane słowa niczym mantrę.

– To ja jestem? Naprawdę ja?

Nikt nie raczył mi odpowiedzieć na tak postawione pytanie – nawet ja sam i by nie popaść w czarną rozpacz wymyśliłem sobie tak na biegu zajęcie – ostukiwanie łyżeczką od cukru filiżanki, z której właśnie piłem kawę i to nie po to by tylko ostukiwać dla samego ostukiwania, ale by znaleźć jej czuły punkt. Trudno mi wyjaśnić, dlaczego aż tak bardzo tego chciałem – najwidoczniej ktoś lub coś wewnątrz mnie tego się domagało. Nim zacząłem wcielać swój plan w życie jeszcze zaśpiewałem pod nosem dwa wersy trzeciej zwrotki piosenki Maćka Maleńczuka:

„I znowu siedzę, i znowu nie wiem  
jak sobie z tym radę dam...”

Skończywszy śpiewać zacząłem ostukiwanie filiżanki i to bardzo skrupulatnie, nie przepuszczając żadnego centymetra jej powierzchni – i nie znalazłem czułego jej punktu. A zaklinam się na wszystkie świętości, że robiłem to z wyjątkową determinacją i to nie raz, ale co najmniej trzy razy. W końcu zniechęcony pomyślałem sobie nawet, że może ten czuły punkt to najwidoczniej jakiś wyjątkowo bystry i cwany. Zapewne gdzieś w strukturze filiżanki przyczał się i przetrzymał moją nawałnicę ostukiwania – może tak właśnie było. Muszę powiedzieć, że zmartwiło mnie to, i to nie na żarty, i by nie popaść w czarną rozpacz na przemian zgrzytałem zębami to znowu tupiałem nogami pod stolikiem, jak mały chłopczyk. W końcu zmęczony umyśliłem sobie kolejne zadanie – postanowiłem zostać myśliwym (w każdym mężczyźnie siedzi przecież łowca). Na początku powstał mały problem – a może i duży. Otóż, na kogo lub na co mam zapolować, bo w lokalu zwierzyny łownej nie uświadczysz, w każdym bądź razie ja jej nie widziałem.

Gdy tak nad tym myślałem w rogu mojego stolika usiadła mucha i beczelnie bzykała. Nie od razu zwróciła moją uwagę swoim bzykaniem, ale w końcu chcąc tego czy nie, jej upierdliwość zrobiła swoje – zacząłem jej się baczniej przyglądać. Usiadła na moim nosie, to znowu za chwilę na krawędzi filiżanki i kawę mi piła, to znów beczelnie po twarzy mi chodziła, raz po jednej raz po drugiej stronie, a na koniec jakby tego było mało, do ucha mi bzykała. Zagotowało się we mnie nie na żarty i wykrzyknąłem – już wiem, na kogo zapoluję – na muchę! Mój pomysł, choć był szalony i niedorzeczny, spełniał moje oczekiwania myśliwego, które się we mnie przebudziły. Nie zatrzymując się już nad tym zbyt długo przeszedłem od

razu do przyjęcia strategii polowania. Najpierw przez chwilę przyglądałem się oceniając jej i swoje szanse i przyznam, że wypadło nieźle – na moją korzyść. Dalej rozważałem, czym ją „ustrzelę”? Był to powód do głębszego rozważenia. Po wielu negocjacjach ze sobą samym zaproponowałem sobie zwiniętą w rulon gazetę, jako najwłaściwsze narzędzie polowania. No, bo korzyść z tego była wielka, no chociażby niepotrzebne było zezwolenie na posiadanie broni i poza tym miałem ją właśnie pod ręką. Rozważywszy całą rzecz dogłębnie rozwiązanie to zostało przyjęte jednym głosem. Na koniec przyjąłem odległość, z której będę na muchę polował – długość mojego ramienia, by przypadkiem ktoś nie przyczepił się do mnie z Greenpeace. Przeanalizowałem jeszcze raz swoją strategię i – punkt po punkcie – zacząłem wprowadzać ją w życie. Gdy już byłem gotowy do polowania mucha nagle odleciała, bo jak to mucha jest nieprzewidywalna – to raz tu, to raz tam – czyli blisko i daleko. W końcu, gdy polowanie szlag trafił (nie wyszło) wstałem od stolika i nieoczekiwanie zdjąłem marynarkę wieszając ją na oparciu krzesła. Dłuższą chwilę przyglądałem się marynarce jakby była, co najmniej od Armaniego a przecież kupiłem ją za jedyne piętnaście złotych w lumpeksie. Gdy tak lustrowałem ją, coś naszło mnie dziwnego – taka zwariowana myśl liczenia guzików. Jak pomyślałem tak też zrobiłem – liczyłem półgłosem, wymieniając każdy z osobna guzik.

– Jeden guzik, drugi i trzeci – zrobiłem małą pauzę, by nabrać w płuca więcej powietrza, po czym ruszyłem dalej – no to są trzy z przodu a ciekawe ile ich jest przy mankietach? – dodałem.

Gdy tak nad tym rozmyślałem kontem oka dostrzegłem, że moje zachowanie wywołało pewne zainteresowanie

u siedzącego naprzeciwko mnie gościa, który przez cały czas baczenie mi się przyglądał. Miałem właśnie coś mu powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, gdy nieznajomy przyłożył palec do swoich ust dając mi do zrozumienia bym milczał – to milczałem, czekając, co też wydarzy się dalej. Jak się okazało nie musiałem wcale zbyt długo czekać, dosłownie po chwili nieznajomy lekko wysunął się do przodu zza swojego stolika i pochyliwszy się w moją stronę cicho szepnął:

– Proszę pana, przy mankietach ma pan po trzy guziki.

Nie odpowiedziałem gościowi, bo za bardzo sam nie wiedziałem, co mam powiedzieć, ale spojrzałem na niego tak jakoś odruchowo, najwyraźniej z uznaniem. Moja reakcja wywołała w nieznajomym uśmiech, jak sądzę – serdeczny. Mimo niepewności, co do odczuć gościa poczułem się trochę lepiej. Na koniec mojego „przedstawienia” podziękowałem nieznajomemu za jego zainteresowanie – skinieniem głowy – i jakby nic się nie stało spokojnie usiadłem przy swoim stoliku. Marynarki jednak nie zdjąłem z oparcia krzesła, przyznam, że nawet o tym nie pomyślałem. Ochota na liczenie, jak nagle przyszła tak nagle odeszła – już więcej nie liczyłem, ale przy tej okazji wdrukowałem sobie w pamięci to, że moja marynarka ma wszędzie po trzy guziki, czego do tej pory nie dostrzegąłem. Po tym wszystkim zrobiło mi się tak jakoś fajnie i przyjemnie, powiedziałbym nawet sielsko – tylko czy na długo? – pomyślałem. Trudno, za otwartość umysłu trzeba płacić, taka widocznie jest tego cena – niepokój i pytania, pytania, całe mnóstwo pytań. Jakże często pozostają one bez odpowiedzi. Kiedy tak siedziałem dociekając skąd i dokąd i po co myśli biegną, nagle do moich uszu doleciała gra na fortepianie, ktoś grał Poloneza

As-dur Fryderyka Chopina. Grał tak pięknie, że nawet upierdliwa mucha – moje niedoszłe trofeum – niespodziewanie pojawiła się i przycupnąwszy na krawędzi mojego stolika słuchała razem ze mną. Słuchając tej boskiej gry, coś ścisnęło mnie za gardło, a serce szybko zaczęło bić i odleciałem do tej chwili, w której mój kolega Czesław, na jednej ze swych prób, grał mi ten utwór. Jaka to była rozkosz słuchania!, muzyka owładnęła mną całym. Czesław nie tylko grał, ale i śpiewał piosenki włoskie, i to z tej najwyższej półki. Słuchając go czuło się, że ma wrodzony talent muzyczny, poczucie rytmu jak i atrakcyjną barwę głosu. Mimo, że tylko ja wówczas byłem jedynym jego słuchaczem, uszanował to, i podszedł do tego z wielkim profesjonalizmem. Raczył mawiać – niezależnie od ilości słuchaczy istotny jest wizerunek podkreślający osobowość artysty, czyli być dopasowanym do stylistyki muzycznej wykonywanych utworów – a swoją drogą zawsze miał pomysł na aranżację piosenki, czemu wówczas dał wyraz. Ach, Czesławie, przyjacielu, tęskno mi do twojej gry i śpiewu! Owa myśl wyrwała mnie ze wspomnienia, a może nie ta myśl, a ten ktoś, co grał i właśnie w tym momencie przestał grać. Podniosłem filiżankę kawy do ust i niczym świętą hostię przyjąłem resztki jej zawartości, niejako podpisując tym gestem przymierze ze sobą samym. Przyznam, że to, co po chwili miałem ujrzeć, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Zobaczyłem wypełzające demony ze wszystkich zakamarków ludzkiej istoty, o których, aż do dzisiejszego dnia nie miałem zielonego pojęcia. Patrzyłem na nie z otwartymi ustami do końca nie mogąc pojąć, czy to sen, czy też jawa. Kiedy w końcu się połapałem, że to jednak nie sen i nie jawa, próbowałem zamknąć swoje usta, lecz w żaden

sposób nie mogłem dać im rady, bo zastygły w otwartej pozycji, i w takiej pozostały nie reagując na moje chciejstwo. A poza tym wydawało mi się, że mówią do mnie – tak, nie wydawało mi się, faktycznie mówiły!

– Oj nie, nie, nic z tego! Nawet nie próbuj zamykać ust – pozostaną otwarte byś oswoił swoje demony, byś je oswoił...

Po tych słowach zimny pot mnie oblał i dreszcz mnie zła-  
pał, trząsałem się niczym osika na wietrze. Strach, jaki mnie do-  
padł, wciągnął mnie do środka mnie samego, gdzie po omacku  
szukałem schronienia. Czy znalazłem? Trudno powiedzieć, bo  
amnezją zostałem trafiony – tylko demony we mnie grasowały,  
od czasu do czasu mnie podgryzając.

Na koniec tego „spektaklu” zatańczyły przede mną swój ta-  
niec godowy i zniknęły pozostawiając niepokój. Myślę, że w tej  
właśnie chwili obudził się we mnie gość wyjątkowo zachłanny,  
który wymiatał językiem nawet najdrobniejszą kropelkę pozos-  
tawionej kawy na brzegach filiżanki. Przyznam, że tak długo  
wymiałałem językiem, aż rozbłysk polerowanej porcelany po-  
raził mnie swoim blaskiem, był piękny i urzekający i taki uwo-  
dzicielski, że dreszcz emocji zbliżającej się rozkoszy wypełnił  
mnie całego. Zanim cokolwiek się wydarzyło czułem, jak moje  
zmysły inaczej zaczęły postrzegać otaczający mnie świat, że na  
samą myśl, co ma się wydarzyć za chwilę, sam do siebie za-  
cząłem się śmiać. W końcu dotarło do mnie to, że zostałem  
zresetowany na ten czas i na tę jedną chwilę, której tak do  
końca nie mogłem pojąć. Mimo podjętych prób wyjaśnienia  
tego fenomenu, nie udało mi się go wyjaśnić. Nie pozostało  
mi nic innego, jak nie wchodzić w zagadkowość spraw i rze-  
czy, o których nie miałem zielonego pojęcia. Jedno, co mogłem



teraz zrobić to, poddać się owemu stanowi ciała i duszy, który powoli zaczął mnie wypełniać. Dlatego przyjąłem, jako oczywistość lekkość, jaka mnie wypełniła po same brzegi. Wówczas poczułem, że staję się lżejszy niczym przysłowiowe ptasie piórko. Uniosłem się do góry i to zupełnie swobodnie szybując nad stolikami w ogródku kawiarnianym, ku zaskoczeniu własnym i przebywających tam gości. Długo to nie trwało, a właściwie chwilę trwało moje oswojenie się z nowym doznaniem i możliwością lewitacji. Poddając się temu stanowi czułem, jak wypełnia mnie nieopisana radości życia, o której do tej pory mogłem tylko zamarzyć.

Przemieszczałem się to w lewo, to w prawo, to znowu do góry, aż po najdalsze konary drzew, które rosły tuż przy płocie kawiarnianego ogródka. W pewnym momencie dostrzegłem kolorowe motyle, które ot tak, nie wiadomo skąd, nagle pojawiły się tuż nad moją głową. Miło było mieć je tuż, tuż przy sobie, bo było tak jakoś przyjemnie i swojsko. Poza tym wydawało mi się, że znamy się od wieków. W pewnym momencie zauważyłem, że towarzyszące mi motyle oprócz adorowania mnie, zrzucają ze swoich skrzydełek na ziemię przezroczyście kryształki, które opadając jakby same szukały dla siebie podłoża, na którym mają spocząć. Na przykład wybierały sobie tylko niektóre kwiaty, czy też niektórych gości. Opadając od razu wnikały w wybrańców tworząc w nich szczególny klimat, który sprzyjał emanacji na zewnątrz radości życia, którego tylko wypadało mi pozazdrościć.

Nie wiem, jak długo poddawałem się temu stanowi, ale zauważyłem na koniec, jak goście patrzyli z niedowierzaniem, że coś takiego mogło się na ich oczach wydarzyć. W końcu widok

mnie lewitującego przekonał ich zmysły, że to, co widzą jest faktem, że nie ma żadnej lipy i triku kuglarskiego, wyzwalając w nich głośne okrzyki:

– Co za odlot ci się przytrafił, co za odlot!

Po tych ich okrzykach uznania, na powrót delikatnie i z gracją opadłem na swoje krzesło, jak gdyby nic się nie stało – a jednak się stało. I ktokolwiek wówczas w ogródku owego lokalu znajdował się, bił mi brawo i wypowiadał głośno swoje uznanie. Nie wiem czy wówczas wstałem czy też dalej siedziałem, ale pamiętam dobrze, jak jeden z gości najbardziej okazujący swoje uznanie złapał mnie za prawą rękę i mocno ją potrząsając krzyczał prosto mi w twarz.

– Wiedziałem! Wiedziałem!, że w końcu coś takiego w mieście Włocławku musi się ujawnić, wiedziałem!

Spojrzałem na niego zdziwiony, nie mogąc pojąć, co też miał na myśli. Przecież ja nigdy i to przenigdy przed nikim w mieście Włocławku nie miałem najmniejszego zamiaru czegokolwiek ujawniać, bo i niby po co?, skoro nic takiego interesującego nie miałem w swoim rozkładzie. Gdy tak nad tym myślałem na chwilę oderwałem się od tego, co się wokół mnie działo. W pewnym momencie ukradkiem zerknąłem, jak czyjaś dłoń wsunęła mi w prawą rękę wizytówkę. Zanim spojrzałem na nią, próbowałem przy pomocy dotyku palców ją odczytać. Niestety, nie wyszło, najwyraźniej nie posiadałem tej szczególnej zdolności dotyku przez niewidomego. Gdy wrzawa i emocje opadły spojrzałem na nią i nie wiedzieć czemu przeczytałem głośno, wszystko, co tam było napisane: BADCZ ZJAWISK NIEWYJAŚNIONYCH, a pod spodem imię i nazwisko oraz numer telefonu komórkowego. Zdziwienie na

mojej twarzy musiało nieźle się odmalować, bo mój rozmówca uśmiechnął się do mnie ze zrozumieniem i położywszy na moim ramieniu dłoń półgłosem powiedział do mnie... i nie do mnie:

– Czas już najwyższy wyłożyć sprawy takie, jakie są one naprawdę...

Przyznam, że zaintrygowały mnie słowa nieznanego i to nie na żarty, bo po chwili wszystkie moje myśli kręciły się wokół tego – co też on miał na myśli tak mówiąc. W końcu przełamując swoją wrodzoną nieśmiałość zapytałem go:

– A jakie one są?

Nieznanomy patrząc mi prosto w oczy powoli zdjął swoją dłoń z mojego ramienia, po czym pukając rytmicznie swoim palcem wskazującym w wizytówkę, którą mi wręczył przed chwilą – powiedział:

– Proszę jutro do mnie koniecznie zadzwonić.

– A może... Nie dokończyłem rozwinąć myśli, bo nieznanomy nie czekał na moją odpowiedź.

Oddalił się nim się spostrzegłem. A jednak mimo to, zauważyłem, że był to człowiek już niemłody, mający jakieś pięćdziesiąt osiem lat, a może i trochę więcej. Miał coś w sobie szczególnego, przyciągającego i na pewno intrygującego. No i ten jego głos, wyjątkowa swobodna przy elastycznej postawie ciała, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Widać było rozluźnienie fizyczne całego jego organizmu i odprężenie psychiczne, co odbijało się na wyglądzie twarzy, i całej jego postawie.

– O! Zapewne warto będzie porozmawiać – powiedziałem do siebie.

Sam nawet nie wiem, kiedy usiadłem na swoim miejscu, a właściwie w nie wpłynąłem (tak mi się wówczas wydawało) nie mogąc się otrząsnąć z wrażenia. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że tak niedawno przecież „coś” niesamowitego przeżyłem. Siedziałem zdaje mi się jakiś czas przy swoim stoliku bez ruchu, wpatrując się w bliżej nieokreślony punkt w głębi sali. W końcu poczułem jak moje źrenice oczu rozszerzały się tak jakoś nienaturalnie szeroko – jak nigdy dotąd, a serce zaczęło szybko bić. W tej samej chwili przed moimi oczyma zobaczyłem gromadę ludzi, tak jak ja wpatrujących się w jedno miejsce, w miejsce rozpadliny, która ni stąd ni zowąd nagle pojawiła się w centralnym punkcie mojego miasta – na Placu Wolności. Jak to się stało tego nie wiem, bo to wrażenie jak szybko się pojawiło tak szybko zniknęło. Doznawszy tego intrygującego uczucia, jak to nazywają Francuzi – takiego małego deja vu poczułem się jakoś dziwnie, nieswojo, a jednocześnie byłem wewnętrznie przekonany, że w czymś niesamowitym uczestniczyłem, albo będę uczestniczył. Uczucie to, nie wiedząc dlaczego, wywołało we mnie lawinę łez, które obficie rzuciły mi się z oczu mocząc obrus na stole. Gdy ostatnia łza została na powiekach kombinując gdzie by tu spłynąć, głośno zawyłem niczym zranione zwierzę – Au! Au! Au! I to nie raz a wiele razy. I nic to, że nie byłem w lokalu sam, że przecież byli goście i nic to, tak po prostu się stało – taka była najwidoczniej we mnie potrzeba.

Po tym wszystkim poczułem w głowie nagły rozbłysk niczym „gwiazdy super nowej” i ukazała mi się droga mleczna – byłem szczęśliwy..., czy aby na pewno? Chyba tak.

W końcu, kiedy się z tego wszystkiego ogarnąłem – powracając do „tu i teraz” ktoś nieoczekiwanie do mnie zagadnął – proszę koniecznie do mnie zadzwonić, koniecznie – dodał z naciskiem w głosie na ostatnie słowo – koniecznie. Jak nieoczekiwanie odezwał się do mnie tak też zamilkł. Upłynęła jakaś dobra chwila nim spojrzałem w tym kierunku skąd dochodził głos i nikogo nie zobaczyłem, tylko lekko falujące koronkowe firaneczki powieszzone pod strzechą imitującą dach wiejskiej karczmy i promienie słońca, co chwilę wesoło tańczące na ścianie lokalu. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, jak ten ktoś tak szybko zniknął nie czekając nawet na moją odpowiedź?, ale z drugiej strony skoro taki stan rzeczy zaistniał, to w końcu dziś wszystko jest możliwe. Jednak dla uprawdopodobnienia swoich dociekań rozejrzałem się wokoło. Rozglądałem się powoli i metodycznie, skanując wszystkich obecnych gości, i nic takiego nie zaobserwowałem, co by zwróciło moją uwagę. Goście, którzy przestali już zwracać na mnie najmniejszą uwagę – zajęci byli rozmową między sobą, czyli najzwyczajniej popijali leniwie kawę. To mnie trochę przekonywało, że chyba tylko coś mi się wydawało.

Kiedy ta myśl do mnie dotarła nagle nie wiadomo, kiedy na moim stoliku wylądował kolorowy motyl. Przycupnął na skraju stolika rozkładając swoje piękne kolorowe skrzydełka. Rozłożył je zachwycająco, powoli i tak jakoś dostojnie, uwodząc mnie tym bez reszty. Przyznam, że takich pięknych kolorów skrzydełek dawno nie widziałem, a może w ogóle nie zwracałem uwagi na motyle. Najwięcej miał koloru pomarańczowego, okraszonego na swoich zakończeniach granatowymi wzorkami. Przypatrując się mu odnosiłem wrażenie, jakby na jego

skrzydełkach była dodatkowa para oczu. Nagła wizyta kruchego i delikatnego „gościa” wzruszyła mnie, może właśnie dlatego moje oczy znów zwilgotniały, a serce tak jakoś zaczęło szybciej bić. Cały czas patrzyłem na motyla jak zahipnotyzowany, aż w końcu poczułem, że on mnie przenika i ja również jego.

– Ach, co za wspaniały świat! – wykrzyknąłem, nie mogąc utrzymać emocji w ryzach.

W tym samym czasie ogarnęła mnie przedziwna lekkość i wydawało mi się, że posiadm umiejętność motyla, że fruwać. Do tego wyczuwałem najmniejszy powiew wiatru, drgania, o których do tej pory nigdy nie miałem zielonego pojęcia i jak by tego było mało, ujrzałem całą mozaikę fascynującego jego świata. Na koniec tego spektaklu zobaczyłem kwiaty w ogrodach i zielone soczyste łąki i drzewa obfite w owoce i ... już więcej nic nie zobaczyłem, bo coś najwyraźniej przerwało tę „transmisję”. Gdy tak siedziałem zmartwiony nagłą w niej przerwą, poczułem, że coś delikatnego dotyka mojej prawej ręki, która spoczywała na stoliku obok filiżanki kawy. Powoli podniosłem oczy w stronę gdzie to coś dotykało moją dłoń i zobaczyłem motyla, jak czułkami mnie dotyka. I nagle doznałem olśnienia – tak, to on do mnie mówił, na pewno on! Przeświadczenie to było tak silne, że całym sobą i w tej jednej chwili w to uwierzyłem. Sama ta myśl wywołała we mnie uśmiech, który szeroko odmalował się na mojej twarzy i nim się spostrzegłem – tak jakoś bezwiednie, zacząłem głośno się śmiać. Moje zachowanie najwyraźniej było zaraźliwe, bo goście, którzy byli w lokalu zaczęli również śmiać się wraz ze mną. W końcu wyśmiawszy się zapłaciłem rachunek za kawę i z uśmiechem na ustach wyszedłem z lokalu. Zanim jednak wyszedłem, odwróciłem się

za siebie, bo taka nagła potrzeba była we mnie, i zobaczyłem coś cudownego... rzekłbym nie z tego świata. Zobaczyłem dużego przezroczystego motyla w poświacie „anielskiej” obejmującego czule starszą kobietę, do której kelner Marcin zwracał się pani Jadwigo. Kiedy filigranowa kelnerka o oczach brązowych imieniem Barbara zbliżała się do Jadwigi, by kartę z menu podać, motyl odwrócił się nagle i uśmiechnął się czule do akurat przechodzącego mężczyzny. Na koniec zanim odfrunął, czy raczej rozplynął się w promieniach słońca, pozostawił po sobie w powietrzu cudowny zapach, którego woń dotarła aż do mnie. Tak cudowny zapach – na samo wspomnienie dech zapiera – chciałoby się czuć, aż po kres swojego żywota! Rozpromieniony i taki jakiś radosny w sobie ruszyłem do przodu a raczej do wyjścia z lokalu. Kiedy miałem właśnie wychodzić, ni stąd ni zowąd, na mojej drodze stanęła moja znajoma Beata o wiele lat młodsza ode mnie – niestety. Beata to piękna młoda kobieta o przebojowym charakterze a do tego niepozobawiona dobrego smaku i taktu. Spotkanie jej sprawiło mi ogromną radość tym bardziej, że dawno jej nie widziałem, no a po za tym po prostu ją lubiłem. Muszę przyznać, że wyglądała rzekłbym Bosko! Nie dziwiło mnie zatem, że mężczyźni, co by tu nie powiedzieć, spoglądają na nią z wielką przyjemnością. Nie znam się na modzie, ale jej kreacja była zachwycająca. Miała na sobie jasno niebieską sukienkę wykończoną przy rękawach delikatną koronką koloru białego. Całość sukienki lekko i zwiewnie okalała jej talię, delikatnie opadała ku dołowi do kolan stwarzając wrażenie płynności jej ruchów. Do całości swojej kreacji trzymała w ręku małą prostokątną torebkę przetykaną małymi „diamencikami”, które od czasu do czasu załamywały promienie padającego na

nie słońca. No i te jej oczy, o których nie mógłbym nie wspomnieć – pełne tego szczególnego blasku, za którym nie jeden „chłopak” pobiegłby na koniec świata. A, jak pachniała – ach! Po prostu, powalająco. Ledwo mnie dostrzegłszy uśmiechnęła się i pierwsza zagadnęła do mnie, bo ja, tak jakoś niezgrabny się zrobiłem – zapomniałem języka w gębie!

– Witaj! – powiedziała.

Musiała upłynąć dobra chwila nim się odblokowałem i ogarnąłem jakoś w sobie by móc wykszusić, choć jedno słowo. No cóż, przyznać muszę bez bicia, że spotkanie takiej eleganckiej kobiety może zakręcić w głowie!

– Ja również – nieskładnie powiedziałem.

Beata spojrzała na mnie tak jakoś figlarnie, po czym zarzuciła lekkim kiwnięciem głowy swoje blond włosy na lewe ramię i przyglądając mi się bacznie powiedziała:

– Wiesz nawet dobrze się składa, że cię spotykam, bo obojście mogę ci powiedzieć, że właśnie zmieniałam pracę.

– Co ty?

– Tak właśnie.

– Cały czas sądziłem, że jesteś zadowolona z tego, co robiłaś.

– I owszem, ale postawiłam na zmianę.

– Co teraz?

– Jest dobrze!

I rzeczywiście od razu widać było po Beacie, że jest zadowolona z życia. Oto stała przede mną pewna siebie piękna kobieta – aż miło było na nią patrzeć. Jednak muszę przyznać, że byłem tym zaskoczony chociażby, dlatego że o ile mi było wiadome nic na taką zmianę raczej nie wskazywało – a może ja tego nie dostrzegałem...



– To, co teraz porabiasz? – zapytałem.  
– Dalej pracuję w nieruchomościach, ale tym razem, jako współwłaścicielka.

– No proszę!

– Tak jakoś się to wszystko poukładało.

– Cóż!, wypada tylko ci gratulować Beata!

– No to dziękuję!

Chciałem coś jeszcze jej powiedzieć, ale Beata najwyraźniej spostrzegłszy osobę, z którą się umówiła w lokalu – kiwnęła mi ręką i szybko pożegnała się ze mną:

– To do następnego razu!

– Do następnego! – odpowiedziałem.

Nim wyszedłem, czas jakiś jeszcze patrzyłem za Beatą, jak znika w lokalu, zastanawiając się nad zmiennością naszych poczynań i wyobrażeń świata, w którym przyszło nam żyć.

## Rozdział III

Tak byłem tym wszystkim oszołomiony, że ledwo wyszedłem z lokalu, niemalże wpadłem na starszą kobietę, która akurat wówczas tam przechodziła. A może dlatego tak się stało, że byłem roztargniony – no właśnie może, kto wie? Tak czy owak muszę przyznać, że jeszcze jedną połową siebie byłem najwyraźniej w lokalu! Cokolwiek teraz bym nie znalazł na swoje wytłumaczenie to, co tam mnie spotkało, trzymało mnie i rozrabiało we mnie, i to kto wie jak bardzo, i jak długo jeszcze będzie we mnie grasować.

Kiedy tylko zorientowałem się, że nieomalże stratowałem przechodzącą właśnie wtedy „Bogu ducha” niewinną starszą kobietę, struchlałem i wystraszyłem się nie na żarty. W końcu ważę te parę kilo – no 96 kg żywej wagi, to jakby nie patrzeć jest coś? „niezły walec”. Dosłownie w ostatniej chwili wyhamowałem i złapałem wystraszoną kobietę w pół głośno wołając na swoje usprawiedliwienie:

– O przepraszam Panią nie zauważyłem !

Zapewne w tym momencie musiałem mieć minę nietęgą, bo sam czułem po swojej twarzy, że wszystkie mięśnie spięły mi się do granic niemożliwości. Nie wiedząc, czemu akurat moje oczy dostrzegły najpierw kobiety dłonie, a potem całą resztę. Kobieta miała krótkie blond włosy i ręce niby nawykłe do ciężkiej pracy, a jednak coś mi w nich nie pasowało.

Pomyślałem nawet sobie, że to są ręce równie dobrze zaznajomione z piórem. Doprawdy nie wiem, dlaczego takowa myśl mnie dopadła – po prostu dopadła i tyle! Być może dlatego, że zrobiły na mnie wrażenie. Wydały mi się jakieś niezwykle, inne niż u ludzi zajmujących się tylko fizyczną pracą, mimo swojego spracowania. A może dlatego, że dostrzegłem w nich dawno miniony czas, kiedy to pióro i książki w jej dłoniach były zawodową oczywistością. Kobieta uśmiechnęła się lekko do mnie, jednocześnie kładąc mi prawą rękę na ramieniu i powiedziała ku mojemu zaskoczeniu:

– Nie poznajesz mnie? – głosem cichym i ciepłym.

W pierwszej chwili za bardzo nie wiedziałem co powiedzieć, bo byłem reakcją kobiety – nie będę ukrywać – po prostu zdumiony. Nie pozostało mi nic innego jak w miarę niepostrzeżenie szybko przyjrzeć się kobiecie i przypomnieć sobie któż to taki?. Wystarczyło jedno dłuższe moje spojrzenie, by rozpoznać z kim też mam przyjemność spotkać się, w tak nietypowej sytuacji. Stała właśnie przede mną moja ciotka, którą – wstyd się przyznać, ale nie rozpoznałem.

– Oj przepraszam, nie poznałem taki jestem zakręcony! – szczerze wyznałem.

Tak to była moja ciotka Teresa a dokładniej to jedna z sióstr mojej śp. matki, która była emerytowaną nauczycielką klas podstawowych, mieszkającą niedaleko Włocławka w Krojczyźnie. Patrząc na nią zastanawiałem się jak to jest możliwe, że od razu jej nie rozpoznałem – a jednak. Bo ten czas, bo tak dawno i w ogóle to wszystko tak szybko umyka... a człowiek żyje w takim zakręceniu, często jakże na własne życzenie.

– Nic nie szkodzi – cicho powiedziała.

– Bardzo mi miło ciociu, że cię spotykam – wykrztusiłem niezgrabnie, ale szczerze.

Spojrzała mi w twarz swoimi mądrymi oczami, w których dostrzegłem spojrzenie mojej śp. matki jak i śp. najmłodszej ich siostry a mojej matki chrzestnej – Jadwigi Charzewskiej z Bobrownik nad Wisłą. W tym momencie uzmysłowiłem sobie, jak ja te kobiety kochałem!, mój Boże!, jak je kochałem... Więc dlaczego i czemu tak rzadko o nich myślałem – dlaczego? Myśl ta przeraziła mnie i tak mi się jakoś miękko na sercu zrobiło, że nie wiedząc, kiedy a łzy same bezwiednie pociekły mi po policzkach. Jedno, co mogłem na tę chwilę zrobić, na co mnie tylko było stać, to przytulić ją do siebie i tak też zrobiłem. I coś dziwnego stało się we mnie – nagle cały świat w tym momencie, jak i wszystkie jego sprawy stały się nieważne, bo w tej jednej chwili, i na tę jedną chwilę poczułem jakbym swoją matkę przytulał... Zawyłem jak zbity pies ze szczęścia i bólu.

– Co ci jest? – zapytała z niepokojem.

– Ach nic, ja tak z radości – cichutko powiedziałem jej do ucha.

Uśmiechnęła się pod nosem delikatnie uwalniając się z moich ramion i nie spuszczać ze mnie oczu powiedziała:

– Spójrz, mam pełen koszyk świeżych winogron, weź je – powiedziała.

Teraz dopiero, gdy dokładniej jej się przyjrzałem dostrzegłem, że ma w prawej dłoni nie za duży koszyk wiklinowy, a w nim dorodne kiście winogron.

– Ależ ciociu – jęknąłem.

– Weź i się nie krępuj – nalegała.

Popatrzyłem na nią i na dorodne kiście winogron i pomyślałem tak sobie, że może powinienem, choć jedną kiść przyjąć.

- Ciociu, ale tylko jedną kiść.
- Czemu jedną?, weź wszystkie.
- Nie, jedną naprawdę!

Ciotka wyczuła w moim głosie zdecydowaną stanowczość i więcej już nie nalegała. Sama wybrała najbardziej dorodną i mi ją wręczyła.

– O, ta kiść będzie najlepsza, zapewne słodziutka – powiedziała szczęśliwa z wyboru.

Spojrzałem na wybór ciotki: rzeczywiście dorodna kiść, dojrzałe owoce z delikatną skórką, zapewne z gęstym i chrupiącym miąższem – oceniłem w duchu.

– Ciociu, serdeczne Bóg zapłać – sam nie wiem, dlaczego powiedziałem tak po staropolsku.

Uśmiechnęła się pod nosem, a ja ni stąd ni zowąd pocałowałem ją w policzek, ot tak po prostu, bo taka we mnie była wielka potrzeba. Podziękowała mi spojrzeniem pełnym zrozumienia i akceptacji, po czym spojrzała na zegarek i rozkładając ręce dała mi znać, że jest już na nią czas.

- To, co ciociu? Do zobaczenia! – powiedziałem.
- Do zobaczenie! Koniecznie nas odwiedź.

Zapewne tak będzie – cicho wyszeptałem, choć w głębi ducha wiedziałem, że jest to deklaracja w pewnym sensie na wyrost.

- Kłaniam się nisko! – dodałem.

Jeszcze chwile tak stałem na ulicy odprowadzając wzrokiem moją ciotkę, która wolno oddalała się ode mnie. W końcu, gdy za zakrętem zniknęła ruszyłem wolno do przodu w stronę najbliższej ulicy, aby najszybciej móc się dostać do Placu Wolności. Po drodze jadłem winogrona – jak cudownie

smakowały! Kiedy byłem już przy końcu ul. Warszawskiej zauważyłem z oddali, że coś niecodziennego się dzieje na Placu Wolności. Trudno mi było tak z oddali zorientować się o co chodzi, ale jednak coś się działo. Im bliżej byłem tym coraz więcej ludzi przybywało. Ludzie „wyptywali” z bocznych uliczek niczym rwący strumień z każdą chwilą z coraz większym strumieniem. A harmider był okropny, nie można było zrozumieć o co chodzi. Poddałem się temu ludzkiemu żywiołowi, powoli zostając przez niego pochłonięty. Nim się spostrzegłem a znalazłem się w miejscu, skąd mogłem zobaczyć na własne oczy przyczynę całego zajścia. Mogę powiedzieć z ręką na sercu, że stałem nieomalże w centralnym miejscu Placu Wolności gdzie stoi pomnik ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, a dokładniej jak głosi na nim napis wygrawerowany dużymi literami „Tobie Polsko Żołnierski Trud”, a nad nim z dwóch stron dwie duże płaskorzeźby orła w koronie: od ul. 3 Maja i ul. P.O.W. Nie byłoby to zapewne nic takiego gdyby... no właśnie gdyby nie rozpadlina – jajowata dziura w ziemi na jakieś dziesięć metrów. Utworzyła się tak po prostu nagle, niespodziewanie jak mówił jeden człowiek stojący tuż za mną. Miejsce powstałej rozpadliny zostało już zabezpieczone dookoła przez służby miejskie taśmą biało-czerwoną.

Widok niesamowity, a właściwie surrealistyczny, nie do podrobienia. Pomnik Żołnierza Polskiego stał tylko jedną połową twardo na gruncie a drugą nad rozpadliną od czasu do czasu lekko się bujając. Ktoś z tłumu nie wytrzymał i krzyknął:

– Uwaga zaraz runie!

– Co pan gada stoi jeszcze sztywno – z drugiej strony rozpadliny jakiś gość odkrzyknął.

– O proszę, mądrale – wtrąciła się do tej słownej przepychanki starsza kobieta z dużym biustem i z tatuażem smoka na przedramieniu prawej ręki.

Tłum jakiś czas cicho mruczał aż w końcu nie wytrzymał i wybuchł całą nagromadzoną emocją. Na początku trudno mi było się zorientować co kto krzyczy bo wszystko się zlewało w jeden niekontrolowany krzyk. Im dłużej tak stałem i oswajałem się z tym krzykiem mogłem w końcu wyłowić poszczególne osoby, które krzyczą – przynajmniej te stojące najbliżej:

– To coś znaczy... znaczy na pewno! – wołał stojący tuż przy mnie w średnim wieku łysawy gościu trzęsąc się przy tym jak galareta.

Nie wiem jak to się stało, ale na zawołania tego gościa jakby wszyscy czekali bo zaczęli klaskać a co niektórzy bić brawo to znowu inni gwizdać. Wrzawa się zrobiła okropna a gdzie niedzie doszło do przepychanek słownych i nie tylko słownych – jeden drugiego zaczął popychać. Nie wiem jakby to się skończyło gdyby nieoczekiwanie emocje nie zelzały – ktoś lub coś upuścił powietrza z tego nadętego balonu agresji. Nie przeszkodziło to wcale następnej grupie ludzi stojącej po mojej prawej stronie wykrzykiwać:

– To na pewno zapowiedź czegoś ... albo kara za coś!

– Za co? – ktoś głośno dopytywał.

– Jak, za co? Za jajco! – dowcipniś jakiś się odezwał.

– O, mądrała się znalazł! – stare kobiety krzyczały zniesmaczone najwyraźniej, że ktoś im krzyżuje ich plany myślenia.

No, to zaczyna być „dobrze” pomyślałem i nadstawiłem ucho, a gdzie tam ucho, dwoje uszu, by wysłuchać, co też tak

naprawdę w ludziach siedzi. Długo nie musiałem czekać, bo najwyraźniej krew się w niektórych wzburzyła.

– A ja wam powiem ludziska – perorował wysoki jegomość w średnim wieku, który akurat stał za mną.

– To gadaj – stojący niedaleko mnie ludzie go dopingowali.

– To sprawa ekologii i tu zaporą się kłania....

– Co ty gościu pierdolisz! To przez brak pracy i te miejskie układy, jakiś rudzielec krzyczał jak oszalały.

Znowu tumult się zrobił i przepychanki słowne między zwolennikami i przeciwnikami, a taka złość wielka co niektórych „zalała”, że niektóre biedaczyska pomdlały, i trzeba było reanimować. Tłum nie zwracał na to uwagi – rządził się swoimi prawami. Długo nie trzeba było czekać by znowu ktoś nie zaczął krzyczeć:

– Słuchajcie ludziska ja wam powiem, co to znaczy...

– To dawaj! – podkręcali gościa co niektórzy.

– Igor Newerly w grobie się przewraca ...

– Co ty bredzisz?

– Nie bredzę, ale wiem co mówię!

– To mów jaśniej!

– Bo „Hamerykę”, o której pisał w „Pamiętce z Celulozy” szlag trafił i Włocławek się rozkraczył...

Reszty nie dosłyszałem, bo wrzawa i krzyki zagłuszyły jego słowa. Na wszelki wypadek znając swoje słabości spuściłem uszy po sobie, by nie dać się podejść i nie uwierzyć w tłum śpiewanie. A pieśń ta przedziwna, „zaczarowana” może uwodzić i ponieść na jakieś manowce.

A tłum napierał z każdej strony, z coraz większą siłą i chcąc nie chcąc powoli odsuwałem się coraz dalej od rozpadliny,



dając tym samym możliwość, i przywilej popatrzeć następnym. W pewnym momencie rozległ się okropny krzyk tych, którzy stali najbliżej dziury:

– Uwaga leci!

Uszy same podniosły mi się do góry uważnie nasłuchując. I rzeczywiście musiało lecieć i to „na mur beton”, bo stłumiony odgłos usłyszałem, i huk... odwróciłem się w tym kierunku a, że nic nie mogłem zobaczyć, wspiałem się na palce próbując coś dostrzec, i też nic mi się nie udało. Więc póki co obserwowałem zachowanie kilku przede mną stojących drągali, którzy wszystko widzieli. Po ich ruchach i nerwowych odgłosach mogłem się tylko domyślać, że niezła obsuwa w tym czasie musiała się wydarzyć.

– O kurwa! – jeden z drągali krzyknął tym samym potwierdzając, że rzeczywiście coś szczególnego ujrzał.

– Ale jaja! – następny dołożył.

– To nie jaja tylko goła prawda – dołożył kolejny.

A ja słuchałem coraz bardziej będąc wkurwiony na siebie i nie na siebie, że nawet kawałka nie mogłem zobaczyć na własne oczy, co też tam się dzieje. Chyba bym pękł z wściekłości gdyby nie przypadek podsunął mi rozwiązanie. Kiedy tak stałem ściśnięty i coraz bardziej zrezygnowany, usłyszałem nieoczekiwane za sobą wołanie:

– To pan?

Odwróciłem się za siebie i ku mojej wielkiej radości zobaczyłem znajomego redaktora Krzyśka z portalu internetowego Q4.pl.

– Tak Krzysztofie to ja, i jestem wkurwiony!

– A co, nic nie widać?

– No właśnie!

– Spokojnie, nie ma sprawy zaraz problem rozwiążemy.

Znam Krzysztofa dość dobrze i myślę, że chyba nawet się lubimy – jak sądzę. Muszę powiedzieć, że to bardzo zdolny i inteligentny dziennikarz Włocławskiego Portalu Internetowego Q4.pl. Żonaty z piękną kobietą o blond włosach imieniem Marta i zakochany na zabój w swojej dwuletniej córce Mai, a do tego postawny i wysoki młody mężczyzna. No właśnie wysoki! Myśl mi przez głowę przemknęła, że już chyba domyślałem się, jaki będzie miał pomysł. Jak się niebawem okazało wcale się nie myliłem.

– Wie pan, co? Zrobmy tak, wezmę pana na plecy i podam panu kamerę.

– Krzysiu świetne rozwiązanie, wilk syty i owca cała! – entuzjastycznie krzyknąłem.

– Tak właśnie!

Trochę potrwało zanim wdrapałem mu się na plecy, bo ciasno już było jak diabli i każdy jakiś taki nerwowy (narwany), że trzeba było uważać by w mordę nie dostać. W końcu udało mi się usiąść Krzysztofowi na barana i zaspokoić swoją ciekawość i nagrać kamerką dla Krzysztofa to, co tam przy pomniku się stało. A stało się, obudowa z nierdzewnej stali zakrywająca pierwotny wizerunek pomnika opadła i „prawda wyszła na jaw”... oczom wszystkim ukazały się do tej pory zakryte socrealistyczne płaskorzeźby, każda inna z czterech stron pomnika: na stronie południowej znajdował się żołnierz polski i czerwonooarmista, na zachodniej – młody mężczyzna i kobieta ze sztandarem, na wschodniej – żołnierz i robotnik, a na północnej robotnik i rolnik. Na południowej stronie i północnej były

tablice z inskrypcją: „Pomnik ten wzniesiony został w 1950 roku, jako dowód wdzięczności mieszkańców Włocławka i powiatu za wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiego przez bohaterką armię radziecką”. Spojrzałem wyżej na pomnik i nie zauważyłem płaskorzeźby orła – czyżby odrzucił pomyślałem i dodałem jeszcze półgłosem do siebie i nie do siebie – ciekawe czy jest on z drugiej strony...

- Co pan tam mówi?
- Dopytywał Krzysztof.
- A nic, tak sobie mruczałem pod nosem.
- To, co Krzysztofie, schodzę?
- Tak pan uważa?
- Oczywiście!

Zejąc z Krzysztofa oj!, nie było tak łatwo raz, że ciasno jak cholera, dwa za bardzo nie było miejsca w które można by się wsunąć, a po trzecie trzeba było uważać by komuś drugiemu na głowę nie wejść. Po wielu próbach i nieudanych manewrach w końcu udało mi się znaleźć jedną niszę, w którą jakoś się wcisnąłem. Kiedy tak staliśmy, a właściwie powoli byliśmy wypychani do tyłu odruchowo, spojrzałem w niebo: było błękitne, bezchmurne, a do tego słoneczne. Przyglądając mu się przez dłuższą chwilę nagle coś mnie w nim urzekło, a właściwie zaintrygowało. Niby niebo jak to niebo nic szczególnego, ktoś by powiedział, a jednak coś w nim było, coś się w nim czaiło – tylko co? Pomyślałem nawet tak sobie – no tak odruchowo, że jakieś dziwne zjawisko atmosferyczne dołączy do tego „niecodziennego krajobrazu”. Chcąc się upewnić w moich przecuciach odwróciłem się do tyłu zadając pytanie starszemu człowiekowi, który stał za moimi plecami.

– I co pan o tym wszystkim sądzi?

Nieznamy spojrział mi prosto w oczy z lekka się uśmiechając, bo jak się po chwili okazało był to mój nauczyciel z Technikum Budowlanego – zaraz?, jak on się nazywał?, niech sobie tylko przypomnę. Pokręciłem głową to w prawo to w lewo, to znowu spojrzałem do góry, aż w końcu przypomniałem sobie – ach tak! Nazywał się Stanisław Lipiński. Sama myśl o przypomnieniu jego nazwiska wywołała we mnie uśmiech i to od ucha do ucha – że jeszcze skleroza mnie nie trawi. Do tego przypomniały mi się jego lekcje, na których z wielką satysfakcją zawsze powtarzał, że urodził się w Grójczyku, którego nazwa w Polsce jest niepowtarzalna. Nie wiem czy tak rzeczywiście jest bo jakoś nigdy tego nie raczyłem sprawdzić – może teraz, no właśnie może? Uczył mnie w pierwszej klasie przedmiotu zawodowego – Budownictwa Ogólnego. Wówczas uważałem i teraz też tak uważam, że był to szczególny człowiek, pełen sprzeczności a przy tym bardzo wrażliwy. Z jednej strony umysł ścisły a z drugiej humanista. Gdy po wielu latach kiedyś spotkałem go przypadkiem pochwalił mi się, że jest pomysłodawcą i jednocześnie redaktorem naczelnym pisma Towarzystwo Rozrywkowego Ogłoszeniowego – „AMOREK”. Co później robił tego już nie wiem bo jakoś kontakt nam się urwał. A tu proszę w takiej sytuacji znowu się spotkaliśmy i nie powiem, ale było mi miło! Chyba bym dalej odleciał we wspomnieniach gdyby nie mój nauczyciel podniesionym głosem do mnie nie zaczął mówić.

– To o co chciałeś się zapytać?

– No tak – podrapałem się po głowie – chciałem zapytać się czy coś się kroi na niebie?

– Czy coś się kroi?, powiadasz – spojrział do góry bacznie się przyglądając niebu.

– No właśnie? – powtórzyłem.

– Sądzę, że chyba tak.

Nie chcąc psuć tej wyczekującej atmosfery nie pozostało mi nic innego jak skracać moje pytania i odpowiedzi do absolutnego minimum treści.

– No rzeczywiście najwyraźniej coś się kroi – powiedziałem.

Długo nie trzeba było czekać, kiedy do naszej rozmowy przyłączył się nieznajomy, który akurat stał niedaleko nas i tak jak my podzielał nasze obawy i przypuszczenia.

– To jak widzę podobnie myślimy – oświadczył.

– Tak właśnie – potwierdziłem.

W pierwszej chwili nie poznałem człowieka, z którym nawiązywałem rozmowę, bo napięcie i w ogóle ta cała sytuacja... dopiero, gdy trochę atmosfera zelżała dotarło do mnie, że my się przecież znamy. Okazało się, że to mój dobry znajomy a właściwie to nie mój, lecz mojego brata były uczeń. Mój brat uczył go przed laty w szkole muzycznej gry na gitarze. Włodzimierz, bo tak miał na imię, a nazywał się Oborski należy do tych nielicznych ludzi, których z przyjemnością się spotyka i po prostu rozmawia dosłownie o wszystkim. Ta jego cecha charakteru pozwala w jego towarzystwie poczuć się bezpiecznie i komfortowo. Swoją drogą szkoda, że tak mało ludzi tego pokroju można spotkać we Włocławku. Mimo, że nasze spotkania należą do rzadkości i bywają przelotne, to jednak zawsze pozostawiają po sobie pewien niedosyt – i dobrze! Ogarnąwszy się tak w sobie zagadnąłem do niego.

– No proszę, to ja do ciebie Włodek mówiłem? – wykrztusiłem, bo język mi jakoś w trąbkę się skręcił.

– A widzisz jak to w życiu bywa, swój na swego zawsze trafi – uśmiechając się powiedział.

– Tak, to prawda – kiwnąwszy głową potwierdziłem.

– I co o tym wszystkim myślisz? – zapytałem.

– Nie powiem, ale na razie jestem oszołomiony ...

– Podobnie jak i ja.

– Ciekawe co będzie dalej?

– No właśnie – cicho wyszeptał jakby bał się obudzić jakieś niewidoczne „licho”.

Przez chwilę zamilkliśmy rozglądając się na boki. Zauważyłem jak otaczający mnie ludzie mają spięte miny i szeroko wytrzeszczone oczy jakby coś niesamowitego zobaczyli. Na dodatek jakby tego było mało wszyscy razem nerwowo poruszają w miejscu prawą nogą. Poruszają raz do przodu i raz do tyłu i tak przemiennie przez cały czas. Wyglądało to wcale nie zabawnie, a wręcz groteskowo – jak... No nie winem za bardzo, jak a tylko dlatego, że boje się sięgnąć po właściwe słowo, które mogłoby mnie przerazić. By uciec od uczucia jakiego doznałem rozglądając się w koło siebie zagadnąłem szybko Włodzimierza:

– Zobacz ilu ludzi jest w szoku! – na potwierdzenie moich słów wskazałem kiwnięciem głowy w każdą ze stron.

– Trudno tego nie zauważyć – odparł sarkastycznie.

– Rzeczywiście nie jest trudno zobaczyć jak otaczający nas ludzie dziwnie wyglądają a do tego tak jakoś podejrzenie przebiegają prawą nogą, to prawda? – cicho nieomalże wyszeptałem to co mi leżało na sercu wprost do ucha Włodzimierzowi..

– Oj prawdę mówisz - szybko pólgłosem odpowiedział.

Miałem właśnie jeszcze coś mu powiedzieć, ale Włodek zadarł głowę do góry i z wrażenia szeroko otworzył usta, i tylko jedno słowo powiedział a właściwie wyjąkał:

– Cholera!

Idąc za jego przykładem również spojrzałem do góry i tak jak on – oniemiałem. Na niebie zobaczyłem hologram znajomego malarza Romka Galińskiego, jak stoi przy swoim płótnie i obraz maluje. A jaki rozgrzany..., powiedziałby, rozgrzany aż do czerwoności. Jeszcze nie skończył, a z jego płótna wyskakują, co jakiś czas, piękne młode kobiety kwiatami obsypane i z tym szczególnym urokliwym uśmiechem, o którym każdy mężczyzna marzy. Tłum widząc tak piękne urokliwe dziewczęta szalał z zachwytu. Nie jeden młody czy starszy mężczyzna darł na sobie koszulę z zachwytu i pożądania. Widać było po jego twarzy i ruchach pędzla, że dopiero się rozkręca, co tam rozkręca on dopiero zaczyna! I wyleciał dawno miniony świat antyczny przepelniony wyrafinowanym kunsztem budowniczych. Kiedy po raz kolejny na płótno się rzucił by jakiś detal poprawić, następny hologram się pojawił tym razem malarza Piotra Drylla. Malował właśnie obraz jakiegoś gościa z rogami, a złość i wkurwienie na jego twarzy sięgało zenitu. W czasie tego aktu twórczego jednym ruchem ręki koszulę z siebie zdarł, po czym złapał skurwiela za rogi i próbował z nim się mocować – odkryć jego mroczne zakamarki i jego prawdziwą twarz. Widok zaiste niesamowity, bo co rusz to inna twarz się pojawia: to niewinnego dziecięcia, czy młodego i szlachetnego człowieka, to znowu wyjątkowo godnej osoby czy też duchownego, a na koniec pojawia się twarz złotoustego polityka. Na

placu zaległa cisza jak makiem zasiał. Wszyscy byli wpatrzeni, jak jeden mąż w to, co artysta przed nimi odkrywa. W końcu rozległ się szloch i lament, tylko gdzieś słychać było chichot i bijące brawa. Na koniec tego spektaklu kolejny hologram na niebie się pojawił: Maggie Piu z krakowskiego parnasu malowała portret kobiety, a co za kobiety? – ach mój Boże! – pięknej i silnej do tego stanowczej i pewnej swojej racji. A jaka strojna była, że patrząc na nią aż dech zapierało – ubrana była w stroju zdobionym niczym secesyjne tkaniny.

Och Piu, pomyślałem daj mi swoją siłę i żywotność ducha, bym wypełnił się nimi i tak jak ty stąpał pośród piękna i harmonii. Kiedy tylko tak pomyślałem, nieoczekiwanie nad tym, co się stało, nad Placem Wolności, unosiły się namalowane przez Piu piękne kobiety w bogato zdobionych strojach. Przesuwały się powoli po elipsie do przodu a właściwie to płynęły z tak wielką fantazją i gracją, że gdy człowiek je ujrzał wpadał cały w zachwyt! Kiedy tak płynęły wszystkich zachwycając wkoło nagle i nieoczekiwanie zawróciły nad środek rozpadliny nad którą rozsypały precudną paletę barw – wzajemnie się przenikając. A jak tańczyły! Mój Boże! Nie ma słów – jeszcze do tej pory ten taniec (przenikanie) mam w głowie i zapewne nie tylko ja. Kiedy hologram z Piu się rozpląnął wszystko powróciło do stanu pierwotnego, tylko gdzieś słychać urwane strzępki rozmów:

- W końcu wypływa...
- Bo najwyraźniej zaczyna pękać....
- Oj, już czas...
- Najwyższy...



Kiedy tak tego wszystkiego, słuchałem jednym uchem wpuszczając a drugim wypuszczając, pomyślałem sobie: przecież cały ten splot niespodziewanych elementów składał się w pewną całość rządzącą się określonymi prawami, o których tylko czasami opowiada mi moja głowa i to dość mgliście. Wydarzenia, jakimi zostałem poczęstowany i jak mniemam nie tylko ja, zostały wielorako ze sobą powiązane, stając się tą szczególną tajemnicą harmonii.

– Tak, chyba tak jest – powiedziałem półgłosem do siebie.

Spojrzałem do góry prosto w słońce i ciemno zrobiło mi się przed oczami – poczułem się zmęczony i miałem jedną tylko myśl, by wracać już do domu. A sytuacja na Placu Wolności coraz bardziej robiła się napięta. Tłum ciekawskich napierał ze wszystkich stron nie dając się tak łatwo uregulować straży miejskiej i innym służbom. Parł do przodu byle bliżej, sam do końca chyba nie wiedząc, po co (jeśli tłum w ogóle cokolwiek wiedział w tym momencie). Jakoś udało mi się wydostać z tego tłumu bez większych uszkodzeń, choć przyznam troszkę zostałem podduszony.

## Rozdział IV

Tyle wrażeń i emocji poprzedniego dnia zapewne zrobiło swoje i nie wiem nawet, kiedy zasnąłem jak kamień. Śniłem, ale nie pamiętam swojego snu. Po przebudzeniu nad ranem miałem w głowie jeden wielki mętlik i niejasne przeświadczenie o konieczności spotkania się z człowiekiem, od którego wczoraj w lokalu dostałem wizytówkę. I to nie od byle kogo, bo jak napis na wizytówce głosił: „BADACZ ZJAWISK NIEWYJAŚNIONYCH”. Ciekawość spotkania, nie powiem, miałem wielką i tak prawdę powiedziawszy już doczekać się nie mogłem. Zanim zadzwoniłem, najpierw zrobiłem poranną toaletę i oczywiście śniadanko. Tak się złożyło, że od kilku dni byłem sam, bo moja żona Teresa jest u syna Marcina w Warszawie na tak zwanych gościnnych występach. Chcąc nie chcąc musiałem sobie jakoś radzić, w czym niewątpliwie pomagał mi mój 13 letni pies Moris – towarzysząc mi przy każdej wykonywanej czynności. Nie wiem, jakiej rasy jest mój pies, bo to mieszaniec, ale czy to ważne? Był po prostu kochany! Kiedy zjedliśmy śniadanie – każdy ze „swojej michy” przyszedł czas by razem wyjść na spacer. Mieszkam blisko lasu, właściwie to las miałem niemalże za oknem, więc taki spacer był po prostu wielką przyjemnością dla nas obu. A las rozśpiewany i taki piękny, cały w soczystej zieleni i kolorowych kwiatach wyrastających z mchu i trawy. Szczególnie ożywczy zapach lasu odurzał.

Spacerując w przepięknej scenerii pomyślałem sobie, że właśnie teraz jest najlepszy moment by zadzwonić. Pierwsza próba była nieudana, bo nikt nie odbierał, druga podobnie i tak samo było za trzecim razem, dopiero za czwartym podejściem usłyszałem głos w słuchawce:

– Tak proszę! – odezwał się głos męski bardzo spokojny o miłej dla ucha barwie.

– Przepraszam, czy nie przeszkadzam? Ale prosił pan o telefon.

– Tak? A kto mówi.

– Jakby tu panu powiedzieć...

Przyznam, że w pierwszej chwili troszkę się zamotałem i za bardzo nie wiedziałem jak wybrnąć z dość w końcu prostej sytuacji. Kiedy tak walczyłem z myślami po drugiej stronie usłyszałem głos:

– To, kiedy, jeśli można zapytać, dałem panu swój numer telefonu?

– Wczoraj spotkaliśmy się w lokalu w mieście, w dość nietypowych okolicznościach – bez zająknięcia powiedziałem.

– Ach tak! Przypominam sobie, faktycznie.

– To, co, spotkamy się?

– Oczywiście! Bardzo chętnie.

– To, kiedy pan proponuje?

– Może dzisiaj tak o piętnastej.

– Oczywiście! A gdzie? – dopytywałem.

– No właśnie, gdzie? Może ma pan swoją propozycję.

– A wie pan, że i owszem, na przykład u mnie w domu.

Po drugiej stronie telefonu zapadło milczenie wydaje mi się, że nie dość długi, bo po chwili usłyszałem głos:

- Dobrze, to proszę mi wysłać na telefon swój adres.
- Zaraz jak zakończymy rozmowę wysłę panu.
- Dziękuję, wobec tego do zobaczenia.
- Do zobaczenia – odpowiedziałem.

Skończywszy rozmowę od razu wysłałem swój adres do rozmówcy, a w międzyczasie mój pies Moris siedząc pośrodku ścieżki bacznie mi się przyglądał. Widocznie coś szczególnego we mnie zobaczył, albo wyczuł może jakąś nerwowość w moim głosie. Zrobiłem jeszcze kilka rundek po ulubionych ścieżkach i powoli wróciłem do domu. Właściwie nie musiałem się specjalnie przygotowywać do spotkania, bo wszystko, co było do przyjęcia gościa miałem: kawa była i śmietanka też, jakby gość sobie życzył, no i dwa rodzaje herbat i oczywiście kruche ciasteczka, co prawda żony, ale jednak były do przegrzienia. Właściwie tylko pozostało mi czekać na gościa. W międzyczasie, żeby urozmaicić sobie czas oczekiwania puściłem sobie złotą winylową płytę „Czerwonych Gitar”. Była to pamiątka z moich młodszych lat, którą po wielu latach wyciągnąłem z szafy i odkurzyłem. Od razu zrobiło mi się tak jakoś miękko na duszy i rzewnie. Czas szybko mi zleciał, bo nim się spostrzegłem a zapowiadany gość stał już u drzwi. Mój gość jak się po chwili okazało był człowiekiem bezpośrednim. Ledwo przekroczył próg mieszkania a od razu wyciągnął rękę powiedział:

- Sławomir jestem, mówmy sobie po imieniu, jeśli można?

Przywitaliśmy się serdecznie, tak jakbyśmy się znali od wieków. Nie powiem, ażeby mi to nie pasowało, a wręcz przeciwnie, bardzo mi się to podobało. W końcu w ten sposób przełamano się wszelkie ewentualne tabu w mających się odbyć

rozmowach. Niewiele myśląc wyciągnąłem rękę do niego i silnie ściskając powiedziałem:

– Marian!

Dobrą chwilę tak staliśmy naprzeciw siebie mając w uścisku swoje dłonie. Gdy jego dłoń tak trzymałem czułem na całym ciele delikatne mrowienie i powoli rozchodzące się ciepło w moim krwiobiegu. Kiedy skończyliśmy ze wzajemnymi gestami uprzejmości, Sławomir bez zbytnich ceregieli zapytał:

– To jak Marianie, gdzie mam się rozgościć?

– A wejdź do tego pokoju z otwartymi drzwiami.

Nie czekając czy jeszcze coś dodam od razu udał się do wybranego przeze mnie pokoju i już po chwili słychać było, że rozgościł się w nim tak jakby bywał w nim wiele razy. A ja w międzyczasie udałem się do kuchni by zaparzyć kawę. Po kwadransie powróciłem do gościa niosąc tacę z zaparzoną kawą i małymi posrebrzаныmi łyżeczkami. Zapach parzonej kawy od razu wypełnił cały pokój, przyjemnie drażniąc nozdrza.

– Proszę – powiedziałem stawiając przed Sławomirem filiżankę parującej kawy.

– O serdecznie dziękuję.

W milczeniu zajęliśmy się czynnością delektowania się pierwszym łykiem tego „boskiego” trunku.

– Przyznam, że dobrze zaparzona – nie odrywając oczu od filiżanki powiedział Sławomir.

– Czasami mi się uda – z sarkazmem odrzekłem.

– To tak bywa – uśmiechając się pod nosem odparł.

Zanim odpowiedziałem przeprosiłem mojego gościa i szybkoitko pobiegłem do kuchni by przynieść wyłożone

przeze mnie na mały porcelanowy talerzyk ciasteczka. Wracając już od progu pokoju mówiłem do niego.

– Sławomirze przyznam, że jestem bardzo ciekaw... – nie dokończyłem, bo mój gość od razu wszedł mi w słowo.

– Tak właśnie myślałem.

– Naprawdę?

– Tak właśnie, jak tylko cię zobaczyłem w lokalu od razu wiedziałem, a gdzie tam wiedziałem, byłem tego pewny, że kto, jak kto, ale ty dostąpisz kiedyś tajemnicy równoległych światów i być może nie tylko...

– A co, mam schizofrenię?

– Oj zaraz tam schizofrenię, właściwiej będzie jak powiem, że masz umysł otwarty.

– Doprawdy?

– Tak!

Spojrzał na mnie tak jakoś przenikliwie, że w pierwszej chwili poczułem się dziwnie, nieswojo, bo przenicowany od stóp do głowy. Na pewno było to widać po mnie, po mojej minie i po wzdrygnięciu się mojego całego ciała, które doznało równoległe z moimi ukrytymi myślami olśnienia. Sławomir kontynuował rozmowę dalej nie zwracając uwagi na to, co się ze mną dzieje na jego odkrycie – być może, dlatego że wiedział doskonale jaka będzie moja reakcja:

– Tak masz to coś.

– Czyli?

– Dar, który nie wszystkim jest dany?, a właściwie jesteś podatny na to, co poza naszymi oczami i zmysłami się dzieje.

– Coś takiego występuje?

– Oczywiście, tylko jest jakże często przez tak zwane wielkie autorytety obśmiewane.

– Szkoda!

– Nauka przynajmniej oficjalnie nie zajmuje stanowiska w tej kwestii.

– A inni?

– I owszem są zainteresowani.

– Kto na przykład?

– Kto? Sądzę, że służby wszelakie.

Przyznam, że to mnie zmroziło i tak jakoś odruchowo zacząłem rozglądać się dookoła, czy ktoś przypadkiem jakimś kanałem tajemnym nie wkradł się w naszą rozmowę. Jeszcze tak dla „własnego zdrowia” rozejrzałem się po pokoju: szklanego ekranu akurat w pokoju nie miałem, a radio wyłączyłem z kontaktu – no, ale laptop był włączony (to chyba nie jest dobrze pomyślałem). Mój rozmówca od razu to zauważył i lekko uśmiechnąwszy się – powiedział:

– Spokojnie Marianie idąc do ciebie zamknąłem jeden z kanałów...

– To ty to potrafisz? – cicho nieomalże szeptem zapytałem.

– Nie zawsze, ale czasami sam nawet nie wiem jak mi to wychodzi.

Spojrzałem mu prosto w oczy nie dowierzając, co też mój adwersarz opowiada? No, ale faktycznie gość do mnie mówił i jak widziałem po jego minie całkiem poważnie.

– Co, trudno uwierzyć? – zapytał.

– Tak właśnie.

– Spokojnie, tak jest na samym początku.

– A ty podobnie odczuwałeś na początku?

– Tak właśnie!

Spokój w głosie i w całej jego postawie stanowił o jego wiarygodności no i o tym, że nie jest „bajkopisarzem„. W końcu na dobrą sprawę coś niesamowitego przeżyłem i to całkiem niedawno, bo wczoraj w lokalu, do którego sam nie wiem, jak trafiłem, a którego nazwy akurat teraz nie pamiętam – tak widocznie miało być, chyba właśnie tak... Pokiwałem głową sam za bardzo nie wiedzieć dlaczego, a może tak po prostu dla samego kiwania, albo jakiegoś tiku nerwowego dostałem – może tak właśnie było!

– To, co teraz? – zapytałem.

– Nic takiego Marianie.

– Kodem do mnie mówisz?

– Oj, to nie tak.

– A jak?

– Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie.

Kiedy skończył do mnie mówić zaczął głośno się śmiać i to tak zaraźliwie, że ja nie wiedząc, kiedy też wybuchnąłem śmiechem. Śmialiśmy się jak te dwa głupole i chyba dość długo, bo wiele już nie brakowało żebym się tym śmiechem zadławił. Wyśmiawszy się zapytałem:

– No dobrze Sławomirze, i co dalej?

– Co? Poddaj się temu, co i tak stać się stanie.

– Nie wiem czy potrafię?

– Po prostu nie myśl o tym, to samo przyjdzie.

– Tak mówisz?

– Tak właśnie.

Lekko się wzdrygnąłem na samą myśl, że może kiedyś uda mi się zajrzeć do równoległego świata. Kiedy tak o tym



myślałem jakaś upierdliwa myśl postanowiła mnie zaatakować i to dość brutalnie, bo stała się tak nachalna, że aż nieznośna – nie dając mi żyć. Cały czas wybijała się na czoło i o czymkolwiek bym nie pomyślał, bez przerwy mówiąc: „przybyli nad Wisłę konkwistadorzy i wszystko suczą – ciebie też!”. Nie chcąc okazać popłochu i przerażenia przestałem patrzeć mojemu rozmówcy prosto w oczy. Postanowiłem sam z tym się zmierzyć i tak jakoś wyszło – przez te wewnętrzne przepychanki – że stanąłem naprzeciw siebie, by zadać sobie samemu pytanie – to mnie też suczą? Gdy tak stałem bez odpowiedzi niczym słupek soli, czułem tylko jedno wówczas w sobie, że zjadam właśnie w tym momencie własną „żabę”. I wówczas coś niesamowitego stało się: ktoś zapukał do mojego serca, a ja je otworzyłem – na progu stał „katharsis”. Ledwo spojrział na mnie, a pieśń mnie dopadła tak piękna i rzewna, że nieomalże mi duszy nie wyrwało. I pomyślałem wówczas o wszystkich moich kolegach i znajomych, jakby to z suczenia ich wyzwolić. Przyznam, że poczułem się bezradny i taki zaplątany we wszystkich kanałach, które od czasu do czasu same się we mnie włączały. W tym momencie chciałem natychmiast do okna doskoczyć i krzyczeć do ludzi. W końcu coś we mnie pękło i już nie chciałem, ale dopadłem do okna i ... zabrakło mi siły – a może odwagi? Jeśli cokolwiek z mojego gniewu i wkurwienia zostało, to tylko tyle, że w ramach rekompensaty zapłakałem gorzkimi łzami. Płakałem głośno i rzewnie i gdyby Sławek nie podał mi chusteczki – pewnie bym niechybnie się utopił we własnych łzach.

- Proszę już przestań – cicho szepnął mi do ucha.
- Wybacz sam nie wiem, dlaczego – wyjąkałem.

– Oj wiesz, wiesz na pewno – znacząco westchnął.

Usiadłem na swoim miejscu próbując jakoś zebrać się w sobie. W tym czasie Sławomir zainteresował się niewielką rzeźbą SOWY, którą dostałem w prezencie od mojego znajomego rzeźbiarza. Wystrugana była chyba z owocowego drewna. Od kiedy tylko ją dostałem zawsze stoi na półce z książkami i jak ulał wkomponowała mi się, ciesząc oczy, jak się okazało nie tylko moje. Muszę przyznać, że była to piękna, z polotem wykonana robota z wyraźnymi oznakami wrażliwości artysty. Cieszyło mnie to tym bardziej, że mój gość zwrócił na nią uwagę, bo akurat tego artystę z Włocławka darzyłem szczególną sympatią.

– Ta sowa bardzo mi się podoba – powiedział.

– Mnie również – odparłem.

– A ktoś ją rzeźbił, jeśli to nie jest tajemnica?

– Mój znajomy.

– A jak się nazywa?

– Zbigniew Błaszczyk!

– Kto wie może z jego usług kiedyś skorzystam – niby do mnie a nie do mnie powiedział.

Sławek odkładając sowę na swoje miejsce przejechał otwartą dłońią po grzbietach książek to w jedną, to w drugą stronę, po czym odwrócił się do mnie i powiedział:

– Zobacz Marianie ile w tych książkach jest energii.

– Wyczuwasz ją?

– A jakże.

– Dlatego warto czytać.

– Zapewne, tyle tylko, żeby czytać właściwe pozycje.

– Tak właśnie!

- Widzę po tytułach, że dobór jest świetny.
- Dzięki za uznanie.

Wydawałoby się, że tak bez końca możemy rozmawiać jednak czas był nieubłagany i moje zmęczenie było tu nie bez znaczenia. Wypadało mi delikatnie i grzecznie z gościem się pożegnać.

– To, co Sławku, może na jurto umówimy się na Placu Wolności?

- Świetny pomysł, zobaczymy, jak tam się sytuacja rozwija.
- No właśnie, nawet nie rozmawialiśmy o tym.
- Jeszcze zapewne porozmawiamy.

Pożegnaliśmy się, jak starzy, dobrzy znajomi – długo trzymając swoje dłonie w dość mocnym uścisku, na koniec obiecując sobie, że jutro postaramy się spotkać na Placu Wolności. Kiedy tylko zamknąłem drzwi za gościem od razu poszedłem do pokoju i usiadłem w fotelu. Przyjął mnie przyjaźnie pieszcząc moje strudzone ciało, i zdaje mi się, że już po chwili nie myślałem o niczym innym tylko o Morfeuszu by zesłał mi błogi sen. Długo raczej nie czekałem, bo już po chwili unosiłem się do góry razem z moim psem Morisem skacząc sobie z chmurki na chmurkę i to całkiem swobodnie. A jaką radość mieliśmy obaj w sercu – mój Boże to trudno byłoby słowami opisać. To znowu kąpałem się w jeziorze krystalicznie czystym, od czasu do czasu, przeglądając się w nim i ku własnemu zdumieniu widziałem odbicie swojej twarzy z lat młodości – było to wzruszające. To znowu po chwili niby przypadkiem rozmawiałem z małymi rybkami i to całkiem swobodnie (o czym?, teraz nie pamiętam). Na koniec jechałem rowerem nad górskimi szczytami podziwiając ich majestat i potęgę. Nie dziwiło

mnie to wcale (jak to w ogóle jest możliwe) nawet, kiedy się przebudziłem – choć później cały czas o tym rozmyślałem. Spałem tak do samego rana i to w ubraniu, a obok mnie mój przyjaciel Moris.

## Rozdział V

Umówiwszy się z moim nowym znajomym wybrałem się przed południem do miasta. A właściwie wybrałem się na Plac Wolności zobaczyć jak się miewa rozpadlina – czy się powiększyła, czy może ją zasypali i tak w ogóle zobaczyć, co też tam się dzieje. Na początku miałem jechać autobusem miejskim jednak, gdy tylko dotarłem do przystanku nagle zmieniłem zdanie – tak po prostu. To prawda trochę dłużej to potrwało zanim doszedłem na miejsce, ale jednak pogoda sprzyjała dłuższym spacerom. Zresztą bardzo lubiłem iść ulicą i po prostu przyglądać się ludziom i wszystkiemu, co się na niej dzieje. Dawało mi to okazję do obserwacji niekiedy zaskakujących sytuacji. Na przykład moją uwagę zwrócił kierowca – już nie pierwszej młodości – prowadzący samochód marki ford, dziwnie się zachowując na pasie drogowym. Prowadził swój samochód wyjątkowo wolno i to zygzakiem z otwartymi oknami po każdej stronie. Jakby tego było mało, co chwilę podnosił się na siedzeniu to znowu siadał wykrzykując za każdym razem:

– I ha!, i ha!, i ha! – niczym jeździec na koniu.

Minę przy tym miał niekoniecznie zabawną, ale głupkowską i nie tylko dlatego, że cały czas się śmiał. Jego twarz była nie naturalnie wykrzywiona we wszystkie strony „czterech stron świata” – była to twarz szaleńca.

Idące przede mną młode dziewczyny pękały ze śmiechu patrząc na to drogowe rodeo. To dopiero dało mu „kopa” już nie tylko wykrzykiwał:

– i ha!, i ha!, i ha!...

Ale krzyczał ile mu fabryka dała powietrza w płucach do idących dziewczyn wychyliwszy się przez otwarte okno na granicy wypadnięcia:

– No lasencje, którą mam pierwszą przewieść moim ruma-  
kiem, no, którą?, i ha!, i ha!, i ha!, no lasencje, którą?

Po takim pokazie sytuacja na chodniku zaczęła gęstnieć od przechodniów przerażonych wyczynami szaleńca, aż w końcu ktoś nie wytrzymał i poleciały w jego stronę niewybredne słowa:

– Ty debilu!

– Jaki debil, to szaleniec! – ktoś inny sprostował.

– Zabrać mu samochód! – krzyczały starsze kobiety.

– I to zaraz, bo jeszcze ludzi pozabija! – kobieta z dzie-  
kiem na ręku przerażona krzyczała.

W końcu tłum przypadkowych gapiów zniesmaczony i za-  
niepokojony zachowaniem szaleńca postanowił położyć kres  
dalszym jego niebezpiecznym poczynaniom. Kilku, co roślej-  
szych mężczyzn i kobiet, otoczyło jego samochód z dwóch  
stron i dawaj próbować wyciągnąć go przez otwarte okno. Nie  
odbyło to się bez tych szczególnych epitetów, które zagrzewały  
wszystkich do stanowczego działania.

– Łap pan za łeb skurwysyna i ciągnij do przodu!

– Za bardzo nie mogę, bo okna zamknął.

Nie mogąc dostać szaleńca zaczęli pukać w okna – a tam  
pukać, walić!, i to z całą siłą, w końcu ktoś z rozwścieczonych  
ludzi rzucił hasło:

– Zbić szybę!

Szaleniec musiał usłyszeć, że coś się przeciwko niemu szykuje ekstra, bo wcisnął gaz i odjechał dobry kawałek do tyłu gdzie mógł poczuć się bezpieczny. Nie zniechęciło to rozszalonych ludzi, a wręcz przeciwnie jeszcze bardziej spotęgowało chęć ukarania, i postawienia na swoim. Mimo, że stali w dość dalekiej od niego odległości, nie dawali mu za wygrane – krzyczeli dość niewybrednie i wygrażali pięściami:

– Wsiadaj palancie!, wsiadaj natychmiast!

Szaleniec zatrzymawszy się w bezpiecznej odległości wychylił się przez okno i pokazał wszystkim swój środkowy palec przy tym głośno dodając:

– O, mam was w dupie!, i ha!, i ha!, i ha!

Nieszczęśnik jeszcze tak przez dobrą chwilę drażnił się z rozwścieczonymi ludźmi, co jakiś czas gwałtownie odjeżdżając do tyłu, gdy któryś z ludzi chcących go zatrzymać próbował za blisko podbiec. W końcu usłyszawszy, że Straż Miejska się zbliża szybko odjechał. Z daleka tylko jeszcze było słychać jego dzikie, szalone zawołanie:

– I ha!, i ha!, i ha!

Oddalając się od uczestników tego, jakby nie patrzeć niecodziennego zajścia, z daleka jeszcze dochodziły do mnie liczne komentarze:

– Coraz gorzej w mieście się robi.

– Brak pracy i perspektyw.

– Właśnie.

– Dlatego wali, co niektórym do głowy.

– Oj wali i to po każdej stronie...

– A tak swoją drogą to w sumie biedny człowiek.

- Może i biedny, ale niebezpieczny!
- Niebezpieczni wariaci są ci w polityce!
- Oj tak na sto procent!

Co dalej mówili tego już nie wiem, bo zbyt daleko odszedłem a zresztą nie słuchałem, bo zaczęli mnie świadkowie Jehowy ostrzegający przed końcem świata. Grzecznie wysłuchałem, próbując zrozumieć, kto tak naprawdę zwariował... W końcu udało mi się wyzwolić od nich, choć przyznać muszę nie było to wcale takie łatwe... Praktycznie na wszystko mają odpowiedź i lekarstwo, choćby na duszę zranioną, i zło tego świata. Wyzwoliwszy się w końcu z tego „świętego kręgu”, szedłem dalej. Na moje szczęście przejazd kolejowy przy ulicy Wienieckiej akurat był otwarty, więc nie musiałem zmarnować czasu na oczekiwanie przejazdu pociągu. Sama ta myśl była jakże dla mnie zadawalająca, bo dała mi poczucie pewnego komfortu – że jednak dzisiejszy dzień jakoś mi się składa. Gdy tak spokojnie szedłem nagle jakiś świst usłyszałem nad głową i poczułem na plecach podmuch powietrza. Za bardzo byłem wpatrzony w siebie by od razu rozejrzeć się dookoła i zobaczyć – cóż to takiego? Gdy jednak znowu powtórzyło się to samo przerwałem ten narcystyczny spektakl i spojrzałem do góry. I cóż widzę? A no widzę coś co się w głowie nie mieści – rzeczywistych sprawców tego całego atmosferycznego zamieszania.

Otóż na wysokości mojego wzroku widzę zawieszony w powietrzu perski dywan, który co jakiś czas swobodnie się porusza, wydając przy tym charakterystyczny odgłos przecinanego powietrza. Nie to było moim wielkim zaskoczeniem, choć i również, ale to, że siedziały na nim trzy znajome



mi kobiety i znajomy jeden mężczyzna. Z brzegu siedziała Agnieszka Chmielewska, obecna radna – piękna kobieta o blond długich włosach, tuż obok niej Marietka z portalu internetowego Q4.pl, a zaraz za nią Aurelia Kowalczyk fotoreporterka, która jak nikt we Włocławku „sercem zdjęcia cyka” a w samym środku tego doborowego towarzystwa siedział Jacek Kuźniewicz obecny prezes Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej. Widać było, iż frajdę wielką ma towarzystwo, że tak odlotowo po Włocławku się porusza – chichrają się na głos i nie tylko chichrają. Agnieszka wiadomo sprawdzała stan „uzębienia miasta” a Marietka pisała niusa do swojego portalu, Aurelia robiła sesje zdjęciową wszystkiego, jak leci niczego nie pomijając, a Jacek Kuźniewicz sprawdzał czy instalacja ciepła bez zarzutów we Włocławku działa. I jakby tego było mało znizywszy pułap lotu nagle wszyscy wstali i dawaj: najpierw panie zakładać na głowę uplecione tego lata wianki z kwiatów polnych a Jacek Kuźniewicz założył czarny kapelusz z dużym rondem z szerokim czerwonym otokiem. To jeszcze nie koniec był na tym bo nagle niewiadomo, jak i kiedy wszyscy przebrali się w kolorowe stroje kujawskie i złapawszy się za boki przyspiewki ludowe śpiewać. Patrząc na ten ich nieoczekiwany występ pomyślałem sobie, że może i ja do nich się dołączę i razem z nimi zacznę tańcować i śpiewać. Tak, taki miałem zamiar w każdym bądź razie i co by tu dużo nie gadać, wielką ochotę. Nie wiedząc czemu a może i wiedząc skończyło się to tylko na tym, że głęboko westchnąłem, po czym sam do siebie zacząłem gadać.

– Och, jak to by było fajnie, jak to by było fajnie przyłączyć się do nich, jak to by było fajnie !

I jak to niekiedy bywa u mnie wszystko zostało na moim chceniu bo najwidoczniej nie znalazłem w sobie na tyle odwagi i siły by się przełamać, i skorzystać z takiej niecodziennej zabawy – a szkoda. A może dlatego, że tak to nieoczekiwanie wszystko się stało jak dla mnie najwidoczniej za szybko- może właśnie dlatego?

– A swoją drogą co też mnie może czekać ciekawego i odlotowego na Placu Wolności – sam sobie głośno zadałem takie pytanie. Najwyraźniej było głośne bo gołębie, które akurat „sprzątały” z chodnika rozgniecione ciastko, które najwidoczniej jakimś łasuchowi upadło nagle szybko poderwały się do góry. Znałem na tyle dobrze siebie by od razu się domyśleć skąd to we mnie nie oczekiwane pytanie – a no właśnie wiedziałem. Zawsze tak ze mną było, kiedy nie chciałem wałkować w nieskończoność gorycz swojego tchórzostwa. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia miałem właśnie coś im powiedzieć, a może nabrawszy śmiałości i odwagi, jednak przyłączyć się do nich – może? Gdy już miałem to na końcu języka zniknęli tak nagle, jak się pojawili. Na pociechę moją zanim zniknęli czy może lepiej rozplynęli się w powietrzu zostawili na niebie napis i to w tym miejscu w którym przed chwilą właśnie byli:

NA PLACU WOLNOŚCI ODBĘDZIE SIĘ PORÓD  
– ZAPRASZAMY!

Przeczytałem z mieszanymi uczuciami za bardzo tego nie ogarniając bo to wykraczało poza moją wyobraźnię. Zrozumiałem w końcu by już więcej się „nie spinać po szczytach”, które mnie przerosły. Nic innego mi nie pozostało, jak iść dalej. Właśnie zbliżając się do mostu nad rzeką Zgłowiączką zobaczyłem, że młoda dziewczyna o blond długich rozpuszczonych włosach

wchodzi na barierkę i skacze z niej. Ten widok zamurował mnie i przeraził, bo w końcu codziennie nie ma się do czynienia z samobójcą. Stałem tak w jednym miejscu czas jakiś jak zabetonowany, nie mogąc najmniejszego ruchu wykonać, a co tu dopiero głos wydobyć. W końcu przetarłem oczy – jakby ta czynność była najważniejsza. Podbiegłem do barierki by zobaczyć na własne oczy to, w co jeszcze trudno mi było uwierzyć. Gdy spojrzałem w dół mostu okazało się, że wzrok mnie nie mylił – faktycznie dziewczyna leżała jedną częścią ciała na brzegu rzeki a drugą w wodzie. Obok niej jakby z podziemi wyrosło już kilku gapiów. Nie przyglądałem się temu zdarzeniu zbyt długo, bo i tak w niczym bym jej nie pomógł, ruszyłem dalej.

Idąc próbowałem oddalić od siebie myśl o zaistniałym zdarzeniu spoglądając w rozświetlone niebo, to znowu obserwując gołębie, które grasowały całymi stadami nad moją głową – tak jakoś mi się ubzdurało. Gdy byłem już w pół drogi do mojego celu podróży zobaczyłem z daleka jak w moją stronę podąża lekkim kłusem człowiek na białym koniu. Widok był niezwykle zjawiskowy i tak nierealny, że w pierwszej chwili pomyślałem, że to fatamorgana – w końcu słońce się łało z nieba. Nawet nie zauważyłem, kiedy zatrzymałem się wlepiając oczy w to niecodzienne zjawisko i obserwując, jak z każdą sekundą ten niecodzienny jeździec zbliża się do mnie. Im bliżej był mnie tym bardziej przekonywałem się, że to nie jest fatamorgana. Gdy już był całkiem, całkiem blisko, w zasięgu mojego widzenia, mogłem go dokładnie zobaczyć i zlustrować. Jakie było moje zdumienie gdy zobaczyłem, że na koniu siedzi młody człowiek o skośnych oczach koloru ciemnego brązu. Widać było, że ten młody człowiek jest zaprawiony w sportach – jakbyśmy to określili

„szczególnych”, o których mój język nie chce się wypowiadać. Ubrany był niby zwyczajnie i niezwyczajnie, bo spodnie dość obszerne, koloru ciemnego i skórzane z cholewami buty na grubej podeszwie, no i koszulę żółtą ze stójką. Zbliżywszy się do mnie zatrzymał konia i skinięciem głową grzecznie się ze mną przywitał, po czym łamaną polszczyzną zapytał:

– Panie, jak tu dojechać do rzeki Wisły?

Nie odpowiedziałem mu od razu, bo byłem tym niecodziennym widokiem zaskoczony, więc patrzyłem na niego, jak na jakieś zjawisko nie z tego świata. W końcu to pewna rzadkość we Włocławku spotkać człowieka o skośnych oczach a do tego na białym koniu, to jakby nie patrzeć rzecz niebywała. Przyznać od razu muszę, że wyjątkowy zapewne to człowiek - bo cierpliwy i grzeczny nad wyraz. Nie naciskał i nie nalegał - czekał, kiedy się w sobie ogarnę i raczę mu odpowiedzieć. Nawet jego koń nie okazywał mi niezadowolenia - czekał. Dopiero, kiedy lekki wiaterek się zerwał i poczułem w nozdrzach zapach jego konia, ocknąłem się z tego dziwnego otępienia, i nie zastanawiając się już dłużej odpowiedziałem:

– No!, no!, już całkiem, całkiem niedaleko - sam będąc zdziwiony, że tak lekko mi wyszła odpowiedź.

Palcem wskazującym pokazałem, w którą stronę ma się kierować i gdy tylko kiwną mi głową (jak dobrze zrozumiałem dziękując mi za uprzejmość) zapytałem jeszcze tak na odchodne z czystej ciekawości - czegoż nad rzeką Wisłą szuka:

– A czemu akurat nad Wisłę się wybierasz?

Spojrzał na mnie przenikliwie cały czas mając lekki uśmiech na twarzy, po czym podał mi do ręki klamerkę od spodni i powiedział:

Zawieś ją na moście tak na szczęście – może...

Po czym kiwną mi ręką i w milczeniu odjechał we wskazanym przeze mnie kierunku w stronę rzeki Wisły. Będąc już dość daleko odwrócił się w moją stronę i krzyknął do mnie:

– W moich snach tak mi przykazano!

– I co z tego – odkrzyknąłem!

– Ano to, że muszę konia napoić właśnie wodą z rzeki Wisły!

Coś jeszcze krzyczał do mnie, ale mimo mojego wytężonego nasłuchu nie udało mi się tego usłyszeć – zbyt daleko już był. Nie powiem, ale w żadne gusła nie wieżę, bo raczej jestem człowiek pragmatyczny, no ale tak dla własnej zdrowotności zawróciłem się do mostu – w końcu daleko nie odszedłem. Kiedy już przy nim byłem, powiesiłem klamerkę od spodni między żeberkami poręczy – a niech sobie dynda na szczęście może jakieś – sam do siebie powiedziałem.

Uspokojony ruszyłem dalej w swoją stronę. Przeszedłem może ze sto metrów, gdy jakby z podziemi wyrósł tuż przede mną mój znajomy Tomek Dziki – archiwista, doktor historyk. Nie powiem, ale miło mi było go spotkać, gdyż to człowiek otwarty a przy tym szczery i ciekawy świata – no a jaki świetny gawędziarz! Dla pełniejszego obrazu jego zalet dodam tylko jeszcze, że zakochany w swojej pracy archiwisty i nie tylko... Tomek, jak na człowieka z takimi zaletami przystało pierwszy wyciągnął swoją dłoń by się przywitać po czym od razu rzucił pytanie:

– Na Plac Wolności idziesz?

– Tak właśnie – odpowiedziałem.

– To jak sądzę we właściwy czas się wstrzelisz.

– Tak sądzisz?

- Tak właśnie sędzę.
- No nie powiem, ale to ciekawe?
- Dopiero ciekawie będzie jak dojdiesz...
- No proszę to teraz apetyt mam wilczy.
- I słusznie!

Tomek popatrzał na mnie tak jakoś zabawnie i nie zabawnie poczym rozejrzał się we wszystkie strony jakby czegoś szukał i głęboko westchnąwszy nie spuszczać ze mnie badawczego spojrzenia powiedział:

– Jak na moje przeczucie to na Placu Wolności odbędzie się poród – chyba...

– Co takiego?

– No poród! – powtórzył z naciskiem.

Zatkało mnie to, o czym Tomek do mnie mówił, ale komu jak komu, ale Tomkowi mającemu taką wiedzę historyczną i nie tylko ... nie wypadało mi nie wierzyć – choć targowica we mnie szalała. Kiedy tak w milczeniu walczyłem ze sobą Tomek w międzyczasie klepnął mnie po ramieniu i zakręciwszy się na pięcie odwrócił się i zniknął tak nagle jak się pojawił. Nie powiem, ale byłem tak nagłym zniknięciem mojego kolegi zaskoczony. Rozglądałem się wielokrotnie we wszystkie strony próbując choć ustalić w którym kierunku poszedł. Mimo moich usilnych starań po Tomku ślad zaginął – nigdzie go nie było widać. Za to od czasu do czasu do moich uszu dochodziły wypowiedane przez Tomka słowa, które tak mną wstrząsnęły, a które z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze:

– Na Placu Wolności odbędzie się poród!, poród!, poród!

I wydawać mi się nawet zaczęło, że owe słowa zostały wdrukowane we wszystko co będę mijał po drodze idąc do Placu

Wolności (drzewa, znaki drogowe, przejeżdżające samochody, nawet fruujące nade mną gołębie i Bóg raczy wiedzieć w co jeszcze ...). A zatem nie pozostało mi nic innego, jak się z tym wszystkim najzwyczajniej na świecie skumplować i iść dalej.

Ledwo wszedłem w ulicę Kilińskiego w ostatni odcinek prowadzący do Placu Wolności, gdy zostałem zaczepiony przez trefnisiów. Przyznam, że ich widok mnie zaskoczył i zdumiał – bo jak to we Włocławku teatr uliczny?, to niebywałe! Muszę również przyznać, że jeszcze tak ubranych błaznów na własne oczy nie widziałem – chyba, że w filmie. Ubrani byli w kolorowe stroje i czapki o trzech rogach zakończonych dzwoneczkami. Mieli jeszcze w rękach berła z wyrzeźbioną głową na końcu. Każdy ich ruch sprawiał, że dzwoneczki na rogach ich czapek dzwoniły sprawiając dodatkową frajdę. Kręcąc się w kółko i podskakując wymachiwali berłami w każdą stronę – do góry i do dołu, w lewo i w prawo, przy tym wykrzykując:

– Chętnie pobawimy się z tobą!

W pierwszej chwili zatkało mnie, bo czegoś takiego nie spodziewałem się. Za bardzo nie wiedziałem jak mam się zachować. Jeszcze nie zdążyłem dobrze oswoić się z tym, co zobaczyłem i z ich propozycją, gdy dwaj trefnisie już byli przy mnie. Byli tuż, tuż, jeden z przodu drugi z tyłu powtarzając to, co już słyszałem:

– Chętnie pobawimy się z tobą!

Zanim otworzyłem usta, by cokolwiek powiedzieć jeden z trefnisiów położył na swoje usta palec dając mi znać bym nic na razie nie mówił, tylko patrzył jak tańczą. A tańczyli jakby taniec godowy, to znowu podskakiwali to wyżej, to niżej, wymachując przy tym berłem tuż przy samym moim nosie. Nim

się spostrzegłem pojawił się trzeci trefniś roześmiany od ucha do ucha, strzygąc uszami powiedział głosem tak słodziutkim, że mnie rozczulił:

– Możemy być twoimi spowiednikami.

– Naprawdę? – wyjąkałem, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

– Oj tak! – któryś z trefnisiów powiedział.

– A bliżej? – zapytałem.

– Możemy być twoją myślą, która wszędzie cię zaprowadzi – powiedzieli wszyscy trzej naraz zaglądając mi prosto w oczy.

– Czyli gdzie?

– Tam gdzie zechcesz... – chórem odpowiedzieli śmiejąc się na głos.

Wyśmiawszy się odskoczyli ode mnie jednocześnie tak jakby się razem zmówili i stając naprzeciwko mnie na jednej nodze bili brawo – ciekawe, dla kogo? Tego już się nie dowiedziałem. Jakby tego było mało zaczęli robić fikołki – to do przodu to do tyłu, to znowu podskakiwali byle, jak najwyżej i najwyżej! To gwiazdę zrobili i oczywiście po kolei każdy z osobna szpagat wykonał wykrzykując przy tym:

– Na salony, na salony my chcemy!

Tchnięty jakimś chyba „palcem Bożym” zakręciłem się trzy razy a może cztery razy wokół własnej osi, i ni stąd ni zowąd tak po prostu palcem wskazującym prawej dłoni wskazałem im, w którą stronę mają iść by trafić na SALONY. Te u góry i te na dole i salony skryte przed wszystkim oczami. Skąd tego byłem pewien – nie wiem... A, że mój palec od tej pory w relikwie się zamienił musiałem go natychmiast schować, by ktoś przypadkiem go nie zgilotynował. Jak się po chwili rozejrzałem na



boki, chętnych na niego było sporo, nawet rzekłbym powstały całe klany i tajne stowarzyszenia, które mój palec oczarował.

Gdy odchodziłem, czułem jak wiele oczu odprowadzało mnie zachłannie, a raczej mój palec wskazujący prawej dłoni. Udałem, że mnie to nic a nic nie interesuje, że jest mi obojętna ich zachłanność. Jeszcze z daleka słyszałem jak za moimi plecami wołają:

– Chytrus przebrzydły.

Nie odezwałem się już ani jednym słowem i nie odwróciłem się za siebie – szedłem prosto do celu na Plac Wolności. Ledwo doszedłem do ostatniej przecznicy przed wejście do upragnionego celu, gdy moim oczom ukazał się niecodzienny, niespodziewany widok. Przez chwilę wówczas pomyślałem, że cała scena, którą ujrzałem tak jakby na mnie czekała rekompensując mi moją drogę. A przyznam się, że czego, jak czego, ale czegoś takiego nie spodziewałem się na tak małym odcinku drogi. Kiedy tylko na niej się znalazłem zobaczyłem, że w moim kierunku jedzie na bicyklu mój stary znajomy Henryk, a wyglądał na nim tak dostojnie i dystyngowanie niczym jegomość z minionego wieku. Na głowie miał kaszkiet z daszkiem w kolorze jasnego brązu i spodnie pumpy, które trzymały się na nim dzięki szerokim szelkom w kolorze zieleni, do tego miał założoną białą koszulę z długimi rękawami i oczywiście buty – czarno-białe lakierki. Pierwszy raz w życiu mogłem zobaczyć na własne oczy jak wygląda bicykl: dwukołowy, z wielkim przednim kołem i małym tylnym. Henryk siedząc na nim wyglądał jak nie z tej bajki. Przyznam, że taki widok to rzadkość we Włocławku, dlatego o mało mi oczy z orbit nie wyleciały patrząc na to cacko pełne uroku. Gdy tylko mnie

zobaczył uśmiechnął się serdecznie i już z daleka kaszkietem machając wołał do mnie:

– No Marianie, tak właśnie postanowiłem przyjechać!

– Nie powiem, ale oryginalnie.

– Też tak sądzę, bo widzisz zapewne więcej zobaczę z tej wysokości...

– Zapewne – odpowiedziałem.

Niewątpliwie miał rację, że więcej zobaczy z tej wysokości, ale również nie dziwiło mnie to, że jechał na bicyklu, bo Henryk to taki człowiek pozytywnie zakręcony – choć przyznam, że mnie ostatnio zaskoczył. Zdradził mi, że próbuje dociec, jaki wpływ ma na nasze życie i na nasze środowisko energia, jaką w sobie mamy. A targają nami te dobre i te złe żywioły niejednokrotnie prowadząc nas na manowce lub do chwały. No a nasze przekleństwa, którymi miotamy na lewo i prawo i ta nasza odwieczna zazdrość i szalona miłość – też nie pozostają bez wpływu na nasze życie, krótko na koniec skwitował. W końcu jak sam mawiał wpadł na szalony pomysł znalezienia równania – wzoru matematycznego – by to zagadnienie matematycznie udowodnić. Zapewne nie jedną tablicę zapisał i jak sądzę wszystkie zeszyty wykupił w promieniu swojego zamieszkania, bo jest człowiekiem upartym i dociekliwym. Na pewno sprawiło mu to dużą przyjemność – choćby dlatego, że kocha królową nauk matematykę. Zresztą postawienie sobie nietuzinkowego wyzwania wyzwalało w nim twórcze działanie na wielu polach, czego dał dowód choćby dzisiaj. Henryk zagłębiał się również z wielką pasją i zaangażowaniem w filozofię, etykę jak i religioznawstwo.

– To cóż o tym wszystkim sądzisz? – zapytałem.

– Co sądzę? No cóż – ciekawe.  
– A jaśniej, jeśli można.  
– Według mojego rozeznania jakaś energia we Włocławku działa.

- Co ty?
- Wybacz, ale tak sądzę.
- A co wzór jakiś znalazłeś?
- Nie, ale tak mi wyszło.
- Z czego?
- Z moich obserwacji Włocławka.
- Coraz lepiej Henryku mówisz!

Henryk nie odpowiedział tylko w skupieniu jeździł w koło po jezdni, na której ruch był wstrzymany z uwagi na zamknięty przejazd przez Plac Wolności. Gdy tak mu się przyglądałem zauważyłem na jego twarzy pewne zakłopotanie. Ponadto jego twarz zrobiła się pociągła, skupiona i widać było, że coś go dręczy. Próbowałem w myślach dociec – cóż to takiego? Nie znajdując rozwiązania postanowiłem czas jego milczenia wykorzystać i przyjrzeć się dokładniej bcyklowi. Gdy tak mu się uważnie przyglądałem doszedłem do wniosku, że naturalnym ogniwem rozmiarów koła była długość nóg Henryka, który musiał dosięgnąć pedałów. Więc jazda na nim nie była zbyt bezpieczna a szczególnie z powodu wysokości, na jakiej siedział Henryk – nie sięgał przecież stopami do ziemi. Tak, tak właśnie jest – sam do siebie półgłosem powiedziałem. Henryk tymczasem podjechał blisko znaku drogowego, który stał obok mnie i łapiąc go prawą ręką zatrzymał się.

- No kolego Marianie – powiedział.
- Tak, Henryku? – zapytałem.

– Widzisz, myślę, że chyba miałem rację...  
– W czym?  
– Że tak właśnie skumulowana energia „zaśpiewa” we Włocławku.

- Jak to mam rozumieć?
- Tu nie ma nic do rozumienia!
- Przyznam, jest to dla mnie niezrozumiałe.
- Marianie, tu są fakty....

Spojrzałem w stronę Placu Wolności a byłem już blisko a właściwie o parę kroków. Ludzi jeszcze więcej przybyło, bo zapewne przyjechali z zagranicy włocławscy emigranci. Tłum ludzi zgromadzonych powiedziałbym był jakiś dziwny, wyciszony. Patrzyli tylko w jedną stronę, zapewne w stronę rozpadliny. Takie wyciszenie i skupienie zobaczyć można tylko na pielgrzymkach i podczas szczególnych państwowych uroczystości. Przyznam, że zrobiło mi się tak jakoś nieswojo i poczułem się niepewnie, bo w końcu pierwszy raz uczestniczyłem w takiej jakby nie patrząc niecodziennej „mszy”. Chcąc złapać równowagę ducha spojrzałem na Henryka to znowu rozejrzałem się na boki bo właśnie w tej chwili przypomniałem sobie, że przecież umówiłem się na Placu Wolności ze Sławomirem. Mimo, iż rozglądałem się dość intensywnie i dokładnie jakoś nie mogłem go w tym gęstniejącym tłumie dostrzec – No cóż widocznie mój nowy znajomy niczym Dżinn schował się w „lampie oliwnej” – tak jakoś głupio sobie pomyślałem, a może i nie głupio, no może? W końcu odruchowo spojrzeć do góry – nie było widać żadnego znaku. Za to z nieba łało się słońce – był upał. Na koniec mojego obserwowania zauważyłem, że ptaki przestały latać – siedziały niczym Truśki na gałęziach drzew. Czyżby to

właśnie był znak, że coś się wydarzy? Na domiar wszystkiego dzwony zaczęły bić w najbliższym kościele jak oszalałe – struchlałem... Ściszone głosem zapytałem Henryka.

- Czyżby to już?
- Sam tego nie wiem Marianie.
- To, co teraz?
- Czekamy...
- Długo?
- Zobaczymy – niezbyt przekonująco powiedział Henryk.

Spojrzałem na niego szukając w jego twarzy choćby jakiegoś grymasu, albo przelotnego uśmiechu, zapowiedzi tego, co może za chwilę się wydarzyć. Nic takiego nie dostrzegłem tylko skupienie i bezgłośnie ledwo widoczne otwieranie ust. A przyznam, że klimat i atmosfera, jaka panowała na Placu Wolności, wylała się niczym rwąca rzeka porywając wszystkich, którzy jeszcze ostali się w przyległych ulicach – porwała nas! Niewiele myśląc rzuciłem pytanie do Henryka:

- To, co idziemy?
- Myślę Marianie, że czas już najwyższy.

Spojrzałem w stronę wylewającego się tłumu z Placu Wolności na ulicę Kilińskiego, na której obaj staliśmy i pokręciłem głową z zaskoczenia.

- Oj, chyba będzie nie lada problem tam się dostać – wyjąkałem.
- Spokojnie Marianie, jakoś damy sobie radę.
- Czyli?
- Idź za mną – powiedział Henryk zsuwając na czoło kaszkiet.

Mimo mojego oporu niewiele myśląc Henryk powoli ruszył w stronę tłumu, a ja tuż za nim krok w krok, poddając się jego decyzji, w końcu ryzykownej. Na początku, o dziwo, stojący ludzie grzecznie schodzili mu na bok ustępując miejsca, w końcu jakby nie patrzeć jechał nietuzinkowy gość. W miarę posuwania się do przodu natrafialiśmy na jawny sprzeciw, bo paru opornych próbowało nam ten wjazd utrudnić:

– Gdzie się pcha! – ktoś z boku krzyczał.

– Lepiej byś może pofrunął? – maolaty krzyczały.

– No, jaki bezczelny! – starsze kobiety stojące z przodu wyraziły swoje oburzenie.

Jednak mimo pewnych oporów, metr po metrze, udało nam się dojść dość daleko a przynajmniej na tyle daleko, że ogarnialiśmy wzrokiem, co dzieje się z przodu, a raczej ogarniał to tylko Henryk. Najwidoczniej w tej pozycji był usatysfakcjonowany, bo się zatrzymał i nie odwracając się do mnie krótko powiedział:

– Oto jest miejsce, myślę, że najlepsze dla nas.

– Skoro tak mówisz – odpowiedziałem.

– Tak właśnie – skwitował.

Nie pozostało mi nic innego jak tylko przyjąć bez zbędnych pytań jego decyzję. Dlaczego akurat w tym miejscu a nie w innym mamy się zatrzymać? W końcu wiedziałem, że Henryk to trudny przeciwnik w dyskusji – jak sobie coś postanowił, to nie było od tego żadnego odwołania. Zawsze szanowałem jego decyzje, bo były przemyślane, choć niekiedy ryzykowne, ale widocznie ten typ człowieka tak miał.

## Rozdział VI

Jak się po chwili okazało, Henryk nie musiał schodzić z bicykla. Nie obawiał się, że się przewróci, bo z każdej strony stojący ludzie tworzyli naturalną barierę. Co najbardziej mnie zdziwiło i zaskoczyło, że stojący ludzie sami odradzali mu zejście z bicykla. Było to o tyle dobrze dla mnie, że mogłem liczyć na jego relację z pierwszej ręki – co też dzieje się z przodu. Zanim zaczął mówić, najpierw dokładnie lustrował wszystko to, co w zasięgu jego wzroku się działo. Tymczasem ja musiałem wysłuchiwać, o czym ludzie gadają między sobą. Na początku było to całkiem zabawne, fajnie wysłuchiwać ludzkich zwierzeń, ale tylko na początku. W pewnym momencie miałem tego dosyć – to nie była moja „waga” – czułem się tymi zwierzeniami przytłoczony, było mi po prostu źle! Bo ile można słuchać, że komuś żona się puściła lub mąż odszedł do kochanki, że ktoś kogoś wygnał przez okno, bo kasa się nie zgadzała i to, że dzieci wyjechały za granicę, bo klimat w mieście zbyt podły. Gadali tak i gadali ile wlezie, aż w końcu popierdoliło mi się w głowie od tego słuchania i głośno warknąłem – spierdalać! Czy to pomogło? Skądże, jeszcze głośniej gadali. Tym razem mówili jakby mi na złość i to takie pierdoły, że już nie wiedziałem czy śmiać się czy płakać. W końcu wpadłem na pomysł by towarzystwo ostudzić – puściłem bąka i to nie cichacza jakiegoś zza węgła, ale głośnego takiego z jajem! Czy

to coś dało? Być może, w każdym razie stało się jedno – ano to, że zaczęli się śmiać jakby napalili się zioła i jeden po drugim puszczały bąki. Sytuacja zrobiła się dość kuriozalna, bo w końcu sam zacząłem się śmiać razem ze wszystkimi. Stojący tuż przy mnie rudzielec zwijając się ze śmiechu głośno powiedział:

– Tak to jest to – dodając – kurwa! – i poprawił po mnie jeszcze głośniejsze i to tak głośno, że co, jak co, ale bębenki były nieźle nadwyreżone, i nie tylko jak mniemam moje ...

Przyznam, że mnie to nieźle zaskoczyło takie przyjęcie entuzjastyczne mojego bąka, ale nic to niech już tak będzie pomyślałem sobie, skoro taka wszystkich stojących obok mnie ludzi była wola. Nie zwracając sobie więcej głowy dogadywaniem i jęczeniem niektórych za moimi plecami, zapytałem Henryka:

- I jak tam sprawy się mają?
- Marianie, cisza jakby przed burzą.
- To, co widać – indagowałem.
- Niby nic takiego! Straż miejska dzielnie stoi.
- Co robi?
- Pilnuje rozpadliny „by nikt w nią nie wpadł” chyba...
- No proszę, jaki dowcipniś.
- I owszem.

Przestałem wypytywać Henryka, co i jak jest z przodu – niech wypatruje bez stresu – pomyślałem. Sam tymczasem rozejrzałem się wokoło siebie, próbując wypatrzeć w tym tłumie ludzi kogoś znanego. Przyznam, że po dłuższym wyteżonym skanowaniu udało mi się w końcu kilku namierzyć. Zobaczyłem niemałe stadko rajców miejskich jak przyciszonym głosem między sobą debatowali, gestykulując przy tym nerwowo rękoma. Najwyraźniej wiedli jakiś poważny spór między sobą



– może dotyczący wykorzystania marketingowego rozpadliny, albo jakichś rozliczeń finansowych. Na koniec plotka poszła między ludźmi, że w Urzędzie Miejskim powstała jakaś biznesowa frakcja, która nosi się z zamiarem wydzierżawienia Placu Wolności, albo sprzedaży klientowi z Kataru. Zobaczyłem jeszcze żebraka, tego samego, który przy kościelnej bramie Ojców Franciszkanów żebrze i jak widać nie jest ślepy, bo przez lornetkę spogląda w kierunku rozpadliny uśmiechając się przy tym tak jakoś dziwnie. W końcu dostrzegłem kieszonkowca, który swym „kunsztem pracy” niejednego mądralę od innowacji by zachwycił. Kiedy tak się wkręcałem w to, co widziałem usłyszałem nagle głos Henryka, który przywoływał mnie do tu i teraz:

– Uwaga, zaczyna się!

Jeszcze nie zdążyłem się odezwać do niego, gdy łoskot i bulgotanie oraz ogromny huk dotarły do moich uszu z rozpadliny – bo niby skąd? Trwało to może kwadrans, po czym nieoczekiwanie wystrzelił w górę jasny gęsty snop światła, który w ułamku sekundy przebił niebo pozostając czas jakiś jakby pasem transmisyjnym z rozpadliną. W tym czasie na placu wszystkim dech zaparło, bo cisza zrobiła się jakby makiem zasiał. Nikt nawet nie poruszył się na centymetr tylko sztywno stał w swoim miejscu spoglądając w niebo, to znowu bojaźliwie w kierunku rozpadliny z niedowierzaniem ją obserwując. Kiedy w końcu przerażenie i strach w ludziach zelżał słychać było tylko jedno:

– To kara...

– Za co? – ktoś z tłumu dopytywał.

– Za głupotę i bierność! – z prawej strony jakaś grupa ludzi krzyknęła.

Nie powiem, ale sam też tak krzyczałem, bo może wówczas tak też myślałem jak niektórzy. Tak było na pewno. Tymczasem mój przyjaciel Henryk niczym wyprostowana struna siedział na bicyklu z podniesionymi do góry obiema rękami. Kiedy go zapytałem – czemu, nie potrafił mi na to racjonalnie odpowiedzieć, tylko tak jakoś bezradnie pomachał to jedną to drugą ręką, dając mi wyraźny znak bym dał mu spokój. Przyznam, że za bardzo nie chciałem, bo nie wiedząc, czemu nagle zrobiłem się jakiś taki upierdliwy. Henryk znał mnie dobrze i najwidoczniej dostrzegł we mnie tę dziwną chęć poznania dla samego poznania, bo uprzedził moje ewentualne pytanie:

- Sam tego nie wiem, dlaczego.
- To nie pamiętasz? – dopytywałem.
- Daj spokój! – warknął najwyraźniej rozdrażniony.

Więc dałem mu spokój z tymi pytaniami, bo w końcu pomyślałem, że sam nie byłem lepszy od niego, też byłem zastygły w jakiejś dziwnej pozie (dwoma rękoma trzymałem stojącego obok mnie osobnika). Chcąc zneutralizować złą karmę zapytałem:

- To, co widać tam na przodzie Henryku?
- Coś się zaczyna dziać, jak sądzę.
- Czyli?
- No nie wiem, ale... – nie dokończył.

Po chwili sam mogłem zobaczyć na własne oczy, co właściwie tam się dzieje. Snop jasnego światła, który wystrzelił do góry w niebo z rozpadliny (stwarzając wrażenie pasa transmisyjnego migocącymi wewnątrz światłami) w pewnym momencie zaczął zmieniać swój kolor z jasnego na mleczny i w mgnieniu oka nieoczekiwanie gęstniejąc rozchodził się na boki. Nim

się spostrzegłem nic już nie było widać na wyciągnięcie ręki. Stałem we mgle zaskoczony i oszołomiony i po prostu nieźle wystraszony. Na tę chwilę straciłem orientację, niczego nie rozumiejąc z tego, co właściwie się stało i działo się na Placu Wolności we Włocławku. Z tego jakby odrętwienia wyrwały mnie krzyki ludzi, którzy podobnie, jak ja wpadli w panikę.

– To już koniec! – ktoś przede mną krzyczał.

– Rany Boskie toć to koniec świata? – za mną kobiety „dośpiewały” pozostałych obawy.

– Spokojnie żaden koniec to tylko mgła i zapewne niedługo się rozejdzie – ktoś z przeciwnej strony próbował racjonalnie całe zdarzenie tłumaczyć – choć no nie wiem? wcale nie przekonywał..

– A jeśli nie? – płaczącym głosem grupa ludzi stojących po mojej prawej stronie próbowała znaleźć jakieś inne wyjaśnienie.

– Tylko bez paniki proszę – jacyś ludzie to z jednej to z drugiej strony uspakajali choć ich głos był drżący na granicy załamania.

I nagle wszyscy jak „jeden mąż” (przy poprawności politycznej, jak „jedna żona”) zaczęli głośno się modlić mimo tak wielu różnic intelektualnych i społecznych dając tym samym wyraz, że ich kod kulturowy jest jednak jednaki:

„Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stwórcy nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga”, Boga..., Boga..., Boga...

Tłum powtarzał kilkakrotnie to jedno słowo – Boga!, niczym zacięta płyta w kółko to samo, po czym nagle zamilkł na dobre. Nie powiem, ale sam byłem tym zaskoczony i to bardzo, bo to dziwna nieoczekiwana przypadłość, z którą jeszcze nigdy się nie mierzyłem. Dodam tylko, że naddatek jakby na złość uczepiła mnie się jedna upierdliwa myśl. Myśl która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej bezczelna i zachłanna – zawładnęła mną niczym swoim kochankiem. Tak! Słyszałem ją wyraźnie we wszystkich członka swojego ciała:

– Nie odwracaj się do tyłu, ani nie spoglądaj na boki, bo cokolwiek teraz zrobisz to i tak wszyscy to samo zrobią, czekaj... Nie odwracaj się!

Więc czekałem, a że jestem człowiekiem wyjątkowo niecierpliwym odruchowo zadarłem głowę do góry próbując cokolwiek dostrzec w tej gęstej mgle, jaka spowiła niebo. Na początku nic nie widziałem, za to czułem, że w tej gęstwinie czai się jakaś nieznaną myśl, która tylko czeka by mną zawładnąć. W końcu, kiedy już miałem oczy spuścić i dać sobie spokój z wypatrywaniem Bóg raczy wiedzieć czego, lub kogo, dostrzegłem jakby w ostatniej chwili świetlisty punkt, który przebijał się przez mgłę zupełnie swobodnie.

Dostrzeżony punkt pulsował rytmicznym niebieskim światłem, po czym z szybkością (rzekłbym) światła zaczął się do nas zbliżać. Nawet przez jakiś moment miałem takie uczucie, że to przyspieszenie nastąpiło, gdy owy punkt dostrzegł wszystkich spojrzem. Zbliżając się do nas wydawał przy tym przenikliwy pisk, tak przenikliwy, że ktokolwiek żyw na Placu Wolności został ześrubowany z miejscem, w którym akurat się znajdował, nie mogąc się poruszyć nawet na centymetr. Nie wiem, co to za

zjawisko było i czy w ogóle dotarło do nas, bo przedziwną mam dziurę w pamięci, którą tak jakoś szczególnie w sobie do dziś celebрую, jako wielką tajemnicę. Od tej chwili miewam powtarzające się sny, w których widzę owe pulsujące niebieskie światło, które, jak przez otwarte okno wpada we mnie i w tym momencie czuję w sobie coś pięknego i niewyobrażalnego. Ach! Na samo wspomnienie tych snów serce zaczyna mi szaleć. Dodam jeszcze, co na pewno pamiętam z tamtej chwili to to, że wówczas wszyscy obecni ludzie na Placu Wolności, jak jeden w pewnym momencie głęboko, głośno westchnęli poczym, jak gdyby nic się nie stało dalej odmawiali przerwana modlitwę:

„Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego. Zrodzony a niestworzony, współistotny Ojcu, a przez Niego wszystko się stało. On to dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba. I za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem„.

Znowu zapadła cisza tym razem za sprawą kilku dziwnych ludzi – jakby nie z tego świata, albo, jak kto woli z innej planety. Pojawili się właściwie z nikąd, czyli wypłynęli nagle z powietrza – tak po prostu – i oznajmili wszystkim wszem i wobec, że teraz oni chcą nas posiąść. Nie po to by uwieść, choć kto wie i owszem, ale doprowadzić ... Tego już nie raczyli nam wyjaśnić. Pierwsze co zrobili to głośno oznajmili:

– Teraz my będziemy brylować.

I rozpoczęli swoje brylowanie z wielkim „przytupem”, bo od piania koguta – tak od piania koguta. Ledwo co się pojawili od razu zaczęli pisać niczym prawdziwe koguty i to wcale niezgorzej a na tym nie koniec był jeszcze. A to przeskakują jeden przez drugiego i tak na przemian – byle z przodu stanąć,

i zapiać jak najgłośniej. W końcu w tej zapalczywości ich pianie się złąło w jeden wielki chur piejących kogutów:

– Ku-ku-ry-ku!, Ku-ku-ry-ku!, Ku-ku-ry-ku!

Tak się w to pianie wkręcili, że po chwili ich twarze nabrały koloru buraka a włosy na ich głowach przypominać zaczęły grzebień koguta – tak się zmierzwiły od piania. Kiedy w końcu przestali pisać, bo może gardła im spuchły, albo wyczerpał się im ten szczególnie repertuar, jak na ironię dostali nie kocich a przenikliwych oczu i dawaj zgromadzone ludziska przeświecić. Czuło się w sobie, że mają niezłego rentgena – nic nie uszło ich uwadze, nawet to co było najgłębiej i najskryciej schowane. Po tej zaskakującej i przenikliwej lustracji tylko jedno słowo głośno razem krzyknęli :

– Uwaga!

I zaczęło się: rzucali – tak dosłownie – rzucali niczym z rękawa hologramami minionej przeszłości Włocławka. Stało to się tak nagle i nie oczekiwanie, że nie jeden człowiek będący wówczas na Placu Wolności z wrażenia płakał to znowu śmiał się z radości, albo mdlał, tudzież wył niczym wilk szukający swojego stada. I tak ujrzeliśmy dawno zapomnianą przez mieszkańców Włocławka a wieki temu rezebraną cerkiew św. Mikołaja w całej jej pierwotnej okazałości. Ujrzeliśmy wchodzących wiernych do niej przez ozdobny portal i przedsionek, ponad którym wznosiła się dzwonnica zwieńczona złotą kopułą. Trudno powiedzieć jak długo ten hologram „tańczył”, bo już następny się wyłaniał. Ujrzeliśmy najpierw ogień, jakby z oddali i im dłużej w ten ogień spoglądaliśmy zobaczyć można było jak na ulicy Żabiej 14 pali się Stara Wielka Synagoga podpalona przez Niemców. Kiedy emocje sięgnęły zenitu a

oczy z wrażenia oczopląsów dostały, nagle hologram rozplynął się, a mimo to pozostał w powietrzu lekko wyczuwalny zapach spalenizny, którego dość długo czuło się w nozdrzach. Nieoczekiwanie płacz się rozległ jakiś taki – no powiedziałby dziwny..., a na domiar tego między tym płaczem słysząc było jak świnię chrzającą opróżniając swoje koryto. Opróżniały tak szkaradnie, że na samo wspomnienie jeszcze do dziś się wzdrygam. Nie sądzę bym w moich postrzeżeniach coś przeoczył lub nie „dośpiewał” tak jak było naprawdę – w końcu byłem jednym z uczestników.

Ten spektakl trwałby niewiadomo, jak długo gdyby tłum nie wypluł poza swój nawias to, co szpetne i obrzydliwe (...) powracając jak gdyby nic się nie stało do przerwanej modlitwy:

„Ukrzyżowany również za nas, pod Poncjuszem Piłatem został umęczony i pogrzebany. I zmartwychwstał dnia trzeciego, jak oznajmia Pismo. I wstąpił do nieba, siedzi po prawicy Ojca. I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a Królestwu Jego nie będzie końca. Wierzę w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Ojca i Syna pochodzi...”.

I znowu nastąpiło tąpnięcie – tłum kolejny raz zamilkł przyglądając się niecodziennemu zjawisku za sprawą mgły, która jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zelała i było wszystko widać. Sprawcą kolejnego zamieszania okazał się „wąż” a raczej spora gromada kolorowo ubranych ludzi biegnących gzygżakiem jeden za drugim między wszystkimi – „świrujących węża”. Pierwszy gość, który udawał głowę węża rzucał we wszystkie strony jako przynętę swoje spojrzenia, które były tak słodkie i czułe, że zda się nie jednego porwały z tłumy, i poniosły dalej do owej słodkiej, mitycznej krainy, którą miał w oczach...,

a nie tylko to miał w oczach... Nie powiem, ale na początku było całkiem fajnie, rzekłbym nawet zabawnie, bo to coś innego – nowego w końcu nie zawsze taki korowód we Włocławku się zdarza o ile w ogóle. Rajd węża rzekłbym kusiciela szybko się skończył, bo mgła znowu nasza gęsta i strach wszystkim na powrót dupy ścisnął i dawaj do modlitwy odmawiania:

„Który z Ojcem i Synem wspólnie odbiera uwielbienie i chwałę, który mówił przez Proroków. Wierzę w jeden, Święty, powszechny i apostołski Kościół. Wyznaję jeden chrzest na odpuszczenie grzechów. I oczekuję wskrzeszenia umarłych. I życia wiecznego w przyszłym świecie. Amen”.

Kiedy tylko skończyli się modlić mgła opadła i słońce wyjrzało oślepiając wszystkich. Cisza, jaka po tym zapadła była tylko prelude do tego, co po niej się stało a stało się coś niesamowitego – jeden wielki okrzyk radości i nieprzerwane bite brawa. Reagowałem jak wszyscy i cieszyłem się ze słońca. Kiedy euforia radości swój pokarm dostała i emocje troszkę jakby opadły spojrzałem na Henryka, który cały czas siedział na bicyklu. Niby wszystko było w porządku z Henrykiem, ale jednak coś nie tak było w jego zachowaniu. Siedział na bicyklu jak na szpilkach, cały czas to podnosząc się to znowu siadając, po czym po chwili łapał się oburącz za głowę sprawiając wrażenie jakby chciał ją sobie oderwać. W końcu nie wytrzymałem i parokrotnie zawołałem do niego:

– Henryku!, Henryku!, Henryku!

Milczał jak zakłęty nie odzywając się do mnie ani jednym słowem. Pozostało mi tylko jedno – patrzeć na niego a właściwie na jego plecy. Widocznie moje intensywne patrzenie przyniosło rezultat, bo nie odwracając się do mnie zaczął dawać



mi znać kilkukrotnym kiwnięciem głowy w prawo. Spojrzałem w tym kierunku, czyli w stronę rozpadliny i nic nie zobaczyłem, czego bym jeszcze nie widział. Wkurzyłem się i ze złością zawołałem do niego:

– Jaja sobie robisz, nic szczególnego nie widzę!

Henryk nadal milczał tylko, co jakiś czas to wstawał to znowu siadał i łapał się za głowę, to znowu kiwnięciem głowy dawał mi znać bym patrzył w kierunku rozpadliny. Chcąc nie chcąc patrzyłem we wskazanym kierunku wkurwiony, że sobie jaja ze mnie robi. Już miałem eksplodować ze złości, bo taki bezmiar jej we mnie się zebrał, gdy moim oczom ukazała się..., z wrażenia aż przetarłem oczy nie jeden raz, ale parokrotnie nie dowierzając, co zobaczyłem. Z miejsca rozpadliny wynurzyła się prawdziwa ludzka goła dupa, która z każdą chwilą rosła. Trudno było rozstrzygnąć, jakiej płci była, bo jej płciowość była poniżej rozpadliny. A była tak wielka, że można było ją oglądać z każdego miejsca. W tym momencie na Placu Wolności słychać było jeden wielki okrzyk, który niczym pożar szybko się przenoślił dalej.

– Co za dupa! – słychać było z każdej strony.

Były to nie tylko głosy męskie, były też kobiece i to nie dwa czy trzy, ale wiele tych głosów, cały chór, i to z każdej ze stron. A dupa, która się wynurzyła tak nieoczekiwanie, była po prostu piękna. Miała w sobie coś tak nierealnego i magicznego, co nie pozwalało oderwać od niej oczu. Patrząc na nią, dech aż zapierało z wrażenia i wcale nie skłamię, jeśli powiem, że odbierało rozum. Kilku mężczyzn i kilka kobiet przy mnie i nie tylko przy mnie rozebrało się do naga i nie zwracając na nic uwagi rzuciło się do przodu, by ją natychmiast posiąść lub tylko

dotknąć. Co chwilę było słyhać, jak szczęśliwcy pći obojga, którym to udało się – wyją z zachwytu i szczęścia, jakiego zdaje mi się, nigdy w życiu nie doświadczyli.

- O rany, już w niebie chyba jestem!
- Czuję, że nareszcie żyję!
- Warto było doczekać tej chwili!
- Jakie piękne jest życie!
- Tylko na tę chwilę czekałem!

Tak wielka euforia i radość zapanowała, że wstyd już się nie liczył – był pojęciem zbędnym. Najważniejsze było dopaść dupy i zrobić to, co w człowieku zagrało, a jeśli nie było to możliwe to, choć ją dotknąć lub popatrzeć na nią – z bliska. Gdy jedno i drugie nie udało się, to, choć ogrzać się w jej blasku i poczekać na dogodny moment, kiedy okazja następna się przytrafi. A trzeba przyznać, że nie było to wcale takie łatwe, bo chętnych było wielu i już się ustawiali jeden za drugim, ba – byli ustawieni w niejednej, a kilku kolejkach, i tych zapewne tajemnych, o których zwykły śmiertelnik pewnie nie wiedział.

Odtąd atmosfera na Placu Wolności zmieniała się nie do poznania. Ludzie tańczyli bez opamiętania, jakby w tańcu godowym, prezentując swoje najpiękniejsze osobiste walory. Niektórzy wymalowani byli od stóp do głów farbami akrylowymi w przepiękne i dziwaczne kolorowe wzory. Tańczyli naprzeciwko siebie przekrzykując się i licytując się swoimi dziwaczными minami. Inni znowu kawałkami swojego odzienia wymachiwali do świecącego słońca, chcąc być może pokazać, że już są po inicjacji. A goła dupa ponad tym wszystkim w słońcu błyszczała niczym Apollo Belwederski, który przed chwilą właśnie zszedł na ziemię z Olimpu. I nieważne było czy to zwykły

plebejusz, czy jakiś rajca miejski, czy może ktoś z braci zakonnych, wszyscy tańczyli bez wyjątku z tą samą pasją i zawziętością dążąc przez swój taniec być może do idei nadczłowieczeństwa lub też świętości czy też boskości, a może w końcu do doskonałej istoty kosmicznej.

Wszyscy tańczyli – nawet mój przyjaciel na bicyklu, rozebrany do spodenek przez roztańczone małolaty. A jego taniec rzekłbym dziwny jakiś, bo akrobatyczny, otóż stawał na jednej ręce pośrodku kierownicy, to po chwili na drugiej, to znowu kuczał na siodelku trzęsąc się niczym galareta, po czym wydawał tajemnicze dźwięki, które rozchodząc się powodowały drgania powietrza. Ktokolwiek wówczas stał na drodze rozchodzących się drgań wpadał w taki trans, że tylko wśród plejad gwiazd taki taniec mógłby astronom wypatrzyć. Nikt na nikogo krzywo nie patrzył, nikt do nikogo złego słowa nie powiedział, bo po co i dlaczego, skoro tylko taniec był najważniejszy. Ja też tańczyłem naśladując mojego kolegę Henryka, wyczyniając jakieś akrobacje. Szpagat robiłem mniej lub więcej udany, to znowu gwiazdę wyciąłem w powietrzu próbując na koniec zaklaskać – śmiechu przy tym było po pachy, ale tylko śmiechu. Kiedy zmęczony swoimi „hołupcami” przycupnąłem przy kole roweru Henryka by, choć na chwile odpocząć od tego szaleństwa zobaczyłem, że dupa tańczy „podkręcając” tym samym wszystkich. A jak płasała! To nie do podrobienia – byłem, widziałem i czułem. Pośladki podskakiwały na przemian to jeden to drugi, przy tym mieniać się w słońcu niczym mityczny kamień filozoficzny – czyżby były dotknięte palcem alchemika? Taka myśl mi przez głowę przebiegła. Tak... MIAŁY TO COŚ W SOBIE, COŚ TAKIEGO, CO TYLKO

W TAŃCU SOLOWYM WYZWAŁO SIĘ ZNIEWALAJĄC WSZYSTKICH BEZ WYJĄTKU. A muzyka – to ten rejwach ludzi pozornie wymieszany i wydawałoby się nie do ogarnięcia. Widziałem jak stare kobiety tańczą wołając głośno – na pohybel straconym złudzeniom, żyjemy tu i teraz. A małaolatki im odkrzykiwały – tak trzymać babcie, tak trzymać. Nie wiem czy ten taniec wywołany został przez jakichś ludzi, czy przez tę nieokiełzaną, wyuzdaną dupę, nie wiem? Wiem na pewno, że coś takiego się działo, a jeśli nie, to dziać się pewnie będzie.... Tak mi się jakoś w głowie pokręciło, że już przestałem rozróżniać gdzie jest fikcja a gdzie rzeczywistość. Jedno i drugie podobne do siebie, więc wybór wcale nie jest prosty. Nie wytrzymując ciśnienia, „bo człowiek złakniony tych prawd prostych i szczerych”, najpierw zawyłem niczym pies skopany, po czym wydłubałem z siebie wszystko to, co wewnątrz mnie boli i niczym kulomiot rzuciłem to w sam środek dupy. Niby nic się na początku nie działo – dupa dalej się wdzięczyła wiodąc prym już na wszystkich płaszczyznach. Nieważne było, że ktoś jej nie dotknął, bo nie mógł się do niej dopchać – wystarczyła duchowa deklaracja oddania się jej. A słychać było wokoło jak nowi jej wyznawcy lojalkę na głos jej wyznają:

- Tobie dupo służę – ktoś krzyczał.
- To mało! – jakieś głosy oburzone słychać było.
- Zadeklaruj się cały – ktoś na głos podpowiadał.
- Z dupą tylko żyć warto! – chórem krzyczano.

A dupa, na głosy swoich wyznawców, zaczęła wdzięczyć się w słońcu unosząc się zalotnie, to znowu powoli delikatnie opadając, żeby po chwili namiętnie kręcić swoimi pośladkami. Po czym bez żadnej żenady i wstydu pomruki jakieś głośne

wydała. Pomruki były zda się na początku nie takie znowu głośne – no takie niby przypadkowe, nieśmiałe. Jednak z każdą chwilą coraz bardziej natarczywe, aż w końcu dupa się spięła tak jakoś w sobie, że nagle stało się to, co stać się miało – dupa puściła bąka głośnego i śmierdzącego. Wszystko, co żywe, po tym „wystrzale” na Placu Wolności, na chwilę zamarło, nawet kwiaty na klombach opadły. Jak po chwili się okazało, nic takiego złego się nie stało a wręcz przeciwnie burza oklasków się zerwała i bite brawa:

- Coś wspaniałego dupo! – ludzie krzyczeli.
- To nam się należało!
- Jaka radość nas spotkała!
- Jeszcze, jeszcze głośniej dawaj!
- Tak do końca świata!

To było tylko preludium tego, co za chwile stać się miało a stało się coś niemożliwego i nieprawdopodobnego, zerwał się taki okrzyk radości, który trudno było opisać słowami. W glorii i chwale dupa czas jakiś delektowała się upajając się wielkim jej uwielbieniem, po czym na koniec tych atrakcji zeskanowała wszystkich zebranych powoli i metodycznie. Kiedy stwierdziła, że osiągnęła satysfakcję, z lubością wielką powtórzyła jeszcze raz swój wyczyn – głośniejszego puściła bąka. Po nim już szal zapanował pośród wszystkich zebranych, kto tylko miał na sobie jakieś jeszcze wdzianko zrywał je i rzucał w stronę dupy, jako dowód swojego dozgonnego oddania. Tymczasem wiatr się zerwał dość spory i rozwiął ten zapach szczególny. Chcąc nie chcąc mizeria musiała się wkraść na Placu Wolności po takich wyczynach i takich akcjach swobody. Tak dalece wkradła się, że widok, jaki do tej pory wszyscy oglądali będąc

zarazem jego kreatorami zaczął wszystkich uwierać i mierzić. Najwyraźniej przyszedł czas by rozejrzeć się za czymś innym – nowym, poeta rzekłby – PIĘKNYM. Nikt o tym nie mówił głośno, bo tak naprawdę jeszcze nie wiedział, o co mu chodzi i skąd ten niepokój serca. Spojrzałem dookoła siebie i zobaczyłem ludzi zawstydzonych i jakby gotowych by stanąć przed lustrem i spojrzeć sobie prosto w oczy. Na samą myśl łzy napłynęły mi do oczu i płakałem jak dziecko, płakałem i płakałem, a słońce jakby na złość każdą moją łzę wylizywało, że już po chwili nie było po żadnej nawet najmniejszego śladu. Tylko mój cień, który co jakiś czas się wydłużał, to znowu skracał, przypominał mi o moich rozterkach. Jednak dupa nie dawała za wygrane i nie zamierzała tak szybko z takiego smacznego kąska zrezygnować. W mig się zorientowała, że coś jest nie tak, że szybko musi działać, by towarzystwo za daleko nie zaszło w swoich rozważaniach, a nie daj Boże zacznie myśleć sercem? Postanowiła przemówić i to tak słodziutkim głosikiem, że aż żal wszystkim dupy ścisnąć, że dupę taki afront spotkał. Najpierw napięła się i długo coś między pośladkami ścisnęła, aż w końcu dała temu upust – bąka puściła tak głośnego, że co niektórym bębenki popękały i musieli odjechać na sygnale do szpitala. W końcu już pewna siebie, że kogo trzeba wyeliminowała przemówiła:

– Wiecie, kim jestem?

– Tak wiemy, dupa jesteś! – wszyscy jak jeden chór krzyknęli.

– No właśnie dupa jestem – potwierdziła.

– Cieszymy się, że jesteś z nami – krzyczeli wszyscy.

– To dobrze, bo jestem tu dla was – brylując w słońcu oświadczyła.

Kiedy zaczęła swoją dalszą myśl rozwijać nagle coś się stało, jakby usterka się wkradła, bo dupa zaczęła nienaturalnie się zachowywać – zaczęła skakać to do góry, to do dołu, to znowu znikać na chwilę, to znowu się pojawiać, aż w końcu znikła na dobre. Cisza zaległa na Placu Wolności – było jak makiem zasiał tylko czuć było w powietrzu jedno wielkie wyczekiwanie, kiedy znowu dupa się pojawi. Im dłużej czas oczekiwania mijał, tym coraz większy niepokój się wkładał, aż wybuchła panika i dało się słyszeć okrzyki rozpaczy. Nie były to wcale pojedyncze okrzyki, ale z każdej strony, coraz większe i głośniejsze. W końcu na Placu Wolności wybuchła histeria. Ludzie krzyczeli wniebogłosy tak przeraźliwie, że ptaki ze strachu uciekały, a co niektórzy w dowód rozpaczy wzajemnie się skalpowali.

– O jej! O jej! O jej!

– Co teraz będzie?

Nie jeden miał w zębach skalp swojego sąsiada, a mimo to razem płakali. Przyznam bez bicia, że mnie wówczas dręczyło pytanie, który z nich bardziej był szczery w swoim bólu – no właśnie, który? Kiedy dziś o tym pomyślę jeszcze raz zadaję sobie to pytanie.

## Rozdział VII

Spojrzałem spłoszony i zaniepokojony a jednocześnie zaintrygowany w stronę mojego kolegi Henryka, zastanawiając się, jak też on przeżył cały ten zamęt wywołany przez ludzi zrozpaczonych zniknięciem dupy.

W pierwszej chwili go nie zobaczyłem, bo mgła czy też łyzy zasłaniały mi widok. Przyznam, że to wzmogło moją czujność i to bardzo - może przypadkiem poległ na jakimś ołtarzu frakcji społecznej, która być może wykuła się z całej tej zadymy. Musiałem dość długo oczy przecierać nim dostrzegłem kawałek bicykla, bo reszta była niewidoczna. Im dłużej patrzyłem w tym kierunku, tym coraz bardziej bicykl mi się odsłaniał, aż ukazał się cały. W końcu zobaczyłem siedzącego na nim Henryka, który jakiś taki był chyba... – ja wiem? No, chyba zadowolony, bo śmiał się od ucha do ucha. Nie wytrzymałem tego napięcia i krzyknąłem w jego stronę:

– Jesteś Henryku!

– A no jestem! – odpowiadając mi jeszcze dusił się śmiechem.

– I co tam z przodu widzisz.

– Coś dziwnego się dzieje.

– A dokładnie?

– Sam jeszcze tego nie wiem.

– A to, dlaczego?



– Bo tak szybko coś wynurza się z rozpadliny, po czym szybko opada.

– Nie żartuj!

– Nie żartuję.

– To, czemu taki jesteś wesolutki.

– Bo zabawnie to wygląda.

– Tak?

– A no właśnie.

– Czyli?

– Wszyscy stojący z przodu cały czas głowami kiwają, to do góry to do dołu próbując dostrzec cóż to takiego.

– To pewnie jeszcze trochę potrwa?

– Zapewne?

Nie chcąc popaść w ramiona nadmiernie wybijającej wyobraźni, która uwolniona osaczała mnie z każdej nieomalże strony, postanowiłem po prostu cierpliwie poczekać. Więc czekałem od czasu do czasu informowany przez Henryka, co też tam z przodu się dzieje:

– Dziwię się, że im głowy nie odpadną. – powiedział.

– A co, tak mocno kiwają? – zapytałem.

– No właśnie.

– To pewnie im wejdzie w nawyk.

– Myślę, że takie potakiwanie szybko im nie przejdzie.

– Przynajmniej będą na czasie.

– Oj, na to się zanosí...

Żeby umilić sobie czekanie postanowiłem podskakiwać do góry, tak jak w niektórych plemionach indiańskich to robią, by się przekonać, jak też wysoko podskoczę. Zacząłem powoli z każdą chwilą coraz wyżej i wyżej. W końcu podskakiwałem niczym

sprężyna. Gdy tak sobie podskakiwałem zobaczyłem jak stojący obok mnie ludzie poszli za moim przykładem – też podskakiwali. Po chwili to podskakiwanie, niczym pożar, przerzuciło się nieomalże na wszystkich ludzi. I chyba nie było nikogo na Placu Wolności, kto by nie podskakiwał – oprócz potakiwaczy z przodu.

I kiedy tak podskakiwałem za którymś razem poczułem zapach jakiś taki niby znajomy, piękny, wręcz anielski. Zacząłem się rozglądać na boki i szukać źródła tego zapachu, i gdy tak się rozglądałem usłyszałem Henryka, który do mnie woła:

– Spójrz Marianie do góry!

Spojrzałem natychmiast i ku mojemu niedowierzaniu i nie tylko mojemu ujrzałem jak od strony rozpadliny wystrzelił w niebo gejzer płatków róż. Wystrzelił tak intensywny, że po chwili wszyscy ludzie na Placu Wolności zostali zasypani aż po kolana. Zaskoczenie było tak wielkie, że nic nie było słyhać, nawet własnych myśli, tylko jeden wielki okrzyk zachwytu.

– To jest cud!

– Jaki cud? To jest łaska! – starsze kobiety krzyczały, a tam krzyczały one wrzeszczały ile „fabryka im dała” sił.

– A jednak wypadałoby się nad tym pochylić? – ktoś stojący obok mnie do tego chóru przekrzykujących się włączył.

Takie historyczne wzajemne przekrzykiwania zaczęły mnie drażnić i wywoływać we mnie agresję, bo tak naprawdę powiedzmy sobie szczerze ile można wysłuchiwać coś takiego, no ile? W końcu nie wytrzymałem tego dłużej i wtrąciłem się do tego wzajemnego przekonywania i to „pełnokrwicie”:

– Zamknąć ryje! – krzyknąłem.

– Jakie ryje gościu? – ktoś stojący niedaleko najwyraźniej próbował mnie strofować.

– Nie odzywaj się do mnie człowiecze! – odszczałem się mu.

– Ty mądrała wyluzuj! – stojący za mną jakiś gość syknął mi do ucha.

Wyczułem, że wokół mnie robi się ciut, ciut zbyt gorąco i chcąc nie chcąc wolałem wyluzować i już więcej się nie odzywać, bo wiadomo jak to w takim tłumie – może człowieka coś nieprzyjemnego spotkać.

A mnie było wszystko jedno czy to cud, czy nie cud, czy też jakaś łaska. Sam fakt był po prostu boski i warty jakiegokolwiek zachwyty. A wykrzykiwania histeryczne podszyte jakimiś nawiedzonymi przeczuciami po prostu burzyły mój rzeczywisty przekaz. Mnie w tej chwili najbardziej rajcował zapach płatków róż, który unosił się w powietrzu i przyjemnie drażnił nozdrza. Był wspaniały nie do podrobienia, takiego jeszcze nigdy nie czułem. Wydawać mogłoby się, że człowiek jest w rajskim ogrodzie i wobec takich zapachów staje się na wszystko inne obojętny. Kiedy tak stałem po kolana w płatkach róż nagle spod tych płatków wynurzył się mój znajomy – artysta grafik i malarz we własnej osobie – Janusz Nowierski. Nie odzywał się do nikogo, jak i zresztą do mnie, tylko skinął do wszystkich lekko głową na przywitanie. Po czym po chwili zanurzył ręce w płatkach róż nabierając pełne ich garście i rozrzucił je na boki cicho wypowiadając słowa:

– To dla ciebie moja śp. żono Tereso! To dla ciebie!

Zrobił to z taką delikatnością i czułością, że patrząc z boku na niego aż łezka zakręciła mi się w oku i poczułem przez moment jego ból. I kiedy ból go opuścił spojrział do góry prosto słońcu w twarz i się do niego uśmiechnął – uśmiech jego

był ulotny i tajemniczy, właściwie taki, jaki niekiedy dojrzeć można w twarzy każdego artysty w czasie jego aktu twórczego. Dość długo słońcu się przyglądał jakby chciał coś do niego powiedzieć, po czym jedno oko zasłonił dłonią to znowu po chwili drugie i głęboko westchnął, i nagle jakby rzecz całą pojął głośno, i dobitnie krzyknął: dla mojego miasta Włocławka to zrobię... I stało się, co najwidoczniej stać się miało – zmienił krajobraz. Jednym pociągnięciem pędzla zamiast istniejącego pomnika namalował po środku Placu Wolności – Kolumnę Wolności i to z kamienia do tego ustawioną na cokole i zwieńczoną głowicą, nocą podświetlaną. Na tym nie koniec, to dopiero była dla niego rozgrzewka. Nie zważając już na nic i na nikogo, nie patrząc, zagiął rękawy koszuli i zaczął malować stare kamienice, których jeszcze trochę zostało.

– Dlaczego to robisz artysto? – ktoś z tłumu zapytał.

– Dlaczego?

– Tak właśnie?

– Dla ciebie!

– Dla mnie?

– Oczywiście

– I co dalej?

– A no to, że zatrzymam przed przemijaniem to, co piękne.

– A co jeszcze?

– Ano to, że malowanie starego Włocławka jest dla mnie symbolem przemijającego czasu.

I kiedy to powiedział, coś zawirowało w powietrzu i na jedną chwilę ciemność zaległa, że nie sposób było w tak krótkim czasie nawet w panikę wpaść. Gdy jasność powróciła niby wszystko było tak jak przedtem: ludzie stali tam gdzie jeszcze

przed chwilą – może bardziej otwarci i uśmiechnięci a mój kolega siedział na bicyklu jakiś taki rozmowniejszy. Rozmawiał właśnie ze starszym panem, który swoim palcem wskazującym pokazywał mu na swojej prawej piersi liść zielony:

– No proszę niech pan spojrzysz tu na mnie.

– No widzę, liść zielony.

– I co pan o tym sądzi?

– Wie pan, nic nie sądzę.

– A to szkoda.

– Nie!

– Proszę spojrzeć na swoją pierś.

Nim Henryk pochylił głowę, by spojrzeć we wskazanym kierunku, ja zrobiłem to pierwszy. Rzeczywiście na prawej piersi miał zielony liść, był duży, dwunastocentymetrowy – chyba, i taki soczysty od zieleni. Odruchowo odwróciłem się za siebie i jakie było moje zdziwienie, jak zobaczyłem, że wszyscy ludzie na prawej swej piersi mają zielony liść tak jak zresztą i ja.

– No Henryku, słucham, co o tym sądzisz? – głośno zapytałem.

– Doprawdy sam nie wiem.

– To jak to, co mamy myśleć?

Zapadło milczenie i nie tylko ja milczałem nie odzywając się do Henryka, ale w ogóle nikt z zebranych ludzi na Placu Wolności do siebie się nie odzywał. A mimo to z każdą chwilą każdy stawał się – rzekłbym – światlejszy. Nie wiem skąd takie we mnie przekonanie zagościło, ale jednak nie opuszczało mnie i było coraz bardziej wszechobecne, nawet w koniuszkach palców. To może przez skórę z powietrza to przekonanie wchłaniałem – tak może właśnie było – pomyślałem.

Kiedy nad tym wszystkim myślałem usłyszałem jak Henryk mówi do mnie i to zdaje się od dłuższego już czasu:

- Mówię i mówię a ty jak zaklęty milczysz!
- Wybacz, ale zamyśliłem się tak jakoś...
- Jednak myślisz?
- Jaki zgryźliwy!
- Wybacz!
- To, co chciałeś?
- Spójrz w stronę rozpadliny.

Spojrzałem, i mojemu zdziwieniu nie było końca. Ujrzałem piękne dorodne drzewo obfite w zielone soczyste liście, których właściwości zbawczych dopiero mieliśmy doznać. Nie wiem skąd ani od kogo o tym wszystkim wiedziałem. Tak wiedziałem wszystko o tym drzewie i nie tylko ja, ale wszyscy ludzie wiedzieli, ci, którzy byli wówczas na Placu Wolności. Liście, które na piersiach mieliśmy powoli wnikały w ciało – oczyszczając organizm i serce z wszystkiego, co podłe i złe, na koniec zapalając światło...

Kiedy teraz myślę o tym siedząc sobie na balkonie restauracji skąd baczenie mam na Plac Wolności zastanawiam się czy to wszystko było rzeczywiste, czy może był to wytwór mojej wyobraźni – no właśnie wyobraźni. Czy może czegoś tam jeszcze... Gdy tak myślałem nad tym, nagle jakiś głos mnie dopadł, który niewiadomo skąd do mnie dochodził, a może sam siebie pytałem – może właśnie tak było?

- Co teraz robisz? – słyszałem wyraźnie zadane pytanie.

Mimo, że mojemu zdziwieniu i zaskoczeniu nie było końca, nie czekając nawet chwili, niejako z automatu rzuciłem pytanie.

- Co robię?! – głośno i dobitnie jeszcze raz powtórzyłem to pytanie jakbym go nie mógł zrozumieć.

- Tak właśnie – głos powtórzył.

Nie odpowiedziałem od razu tylko spojrzałem najpierw w niebo tak odruchowo jakby czegoś szukając, a może tak po prostu spojrzałem – no właśnie? Było czyste i słoneczne od czasu do czasu zawłaszczane przez dość liczne stado gołębi, które beztrudno urządzały sobie harce na niebie. W końcu „zebrałem się w sobie” i jednym tchem niczym karabin maszynowy głośno wystrzelałem to co najwidoczniej samo cisnęło mi się na język:

- Ano! Wysiaduję coraz częściej w przychodni lekarskiej i szukam „zdrowego kawałka mojego serca”.

Głos nie odpowiedział mi mimo, że muszę przyznać dość długo na to czekałem. Za to ku mojemu zdumieniu, nie wiedząc czemu, głośno zacząłem się śmiać:

- Ha!, ha!, ha!, ha!, ha!, ha!

Tak uchachany nie wiedząc czemu, odruchowo zadzwoniłem do mojego najmłodszego brata Waldka a właściwie to do Romana, bo tak miał na pierwsze imię. Zadzwoniłem chyba po to, by tak po prostu sobie z nim pogadać, jak to jeszcze do niedawna bywało... Kiedy czekałem na połączenie jedna szczególna myśl mnie dopadła. Myśl, którą nijak nie chciałem przyjąć od samego początku – którą wypierałem ze swojej świadomości wbrew oczywistym faktom....

- Po co dzwonisz skoro już go niema, wiesz doskonale – słyszałem to w głowie.

- Wiem! – powtórzyłem pod nosem jakby zaskoczony i zdziwiony i jednocześnie oczywistą prawdą przerażony.

– Oczywiście, że wiesz, że z Charonem odpłynął rzeką Styks na jej drugą stronę! – słyszałem to w sobie coraz głośniej i głośniej.

Wówczas jeden wielki krzyk rozległ się we mnie z bólu i złość, że tak nagle, nieoczekiwanie po prostu „wsiadł do łodzi i odpłynął sobie... nie pytając się nikogo o zdanie” Tak! Odpłynął tego pamiętnego dnia, który niczego takowego nie zapowiadał, a wręcz przeciwnie dał przyjemność z wzajemnej rozmowy. Zrobiło mi się tak jakoś ... – no dreszczowo i zimno. Po chwili mogłem się przekonać, że to jeszcze nie koniec był na tym: poczułem, że żal i rozpacz wielka niczym bluszcz opłatał mnie całego zaciskając tak mocno, że łzy same bezwiednie spłynęły mi po policzkach. Kiedy zostałem tak „zmiksowany” nagle poczułem, jak coś delikatnego i zarazem zwiewnego osiada na moim prawym policzku – spojrzałem kontem oka. Oczom moim ukazał się mały czerwony płatek róży który najwyraźniej lekkim podmuchem wiatru został poniesiony i akurat trafił na mnie .... Nic nie powiedziałem tylko westchnąłem kilka razy mocno i głęboko:

– Ach!, Ach!, Ach!

I prawą ręką delikatnie i ostrożnie zdjąłem z policzka płatek róży niczym „komunie świętą” i rozłożyłem go w otwartej lewej dłoni. Przez jakiś czas przyglądając się mu uważnie – był piękny i taki czerwienią soczysty mimo słonecznej pogody. Głaskałem go jakiś czas delikatnie serdecznym palcem, zachwycając się jego kruchością. Jednak po chwili pozwoliłem jakimś tchnięty przecuciem, by ciepły wiatr dalej go poniósł ku jego przeznaczeniu....



Kiedy tak spoglądałem na odlatujący płatek róży pomyślałem wówczas sobie, że to co tak niedawno mnie spotkało, co było mi dane przeżyć nie było żartem ani dziwacznym wymysłem mojej wyobraźni. Było rzeczywistością która się stawała, a w każdym razie stać się może... Nagle pojąłem, że wszystko, wszystkim, ale kiedyś się kończy czas abortowania w najmniej oczekiwanym momencie dla każdego – jak sądzę?

Czy to zaboli? – zapewne tak, każdego inaczej ....

Na samą tę myśl uśmiechnąłem się tak jakoś w sobie tajemniczo, po czym po chwili zadzwoniłem do mojego przyjaciela rzekłbym pokrewnej duszy – Jerzego Wiesława Tomaszewskiego, by poprosić go o „koło ratunkowe” – o rozmowę.

Przepraszam za słowa dupa i ewentualne skojarzenia związane z jej cielesną rzeczywistością, ale ni jak się nie dało wyrazić klimatu człowieczego poszukiwania. Tyle pięknych słów już nadużyto i wykorzystano po to tylko, by zaczarować i ograbić człowieka z jego otwartego umysłu, którego matka natura w życzliwości swojej wszystkim nam dała – czy na pewno wszystkim?

Amen!

Wersja II uzupełniona.  
Ukończono 26.04.2017 r.



## Spis treści

Rozdział I .....	11
Rozdział II .....	37
Rozdział III .....	58
Rozdział IV .....	74
Rozdział V .....	85
Rozdział VI .....	103
Rozdział VII .....	120

